



etno grafia do kieszeni

numer 1

jeleniewski, szczepański, sznel

O ETNOGRAFII DO KIESZENI

Etnografia to kłopotliwe słowo. Etnograf zwany bywa folklorystą i podejrzewa się go o umiłowanie cepelii. Faktycznie, może zajmować się i jednym, i drugim. Może również badać egzotyczne grupy etniczne na wyspach Pacyfiku lub odnajdywać egzotykę na własnej ulicy.

Jeśli wybraliśmy słowo etnografia na tytuł serii tekstów o Warszawie, to właśnie po to, aby pokazać, że etnograficzna metoda, oparta na spotkaniu z człowiekiem w kontekście, w którym funkcjonuje, pozwala w nowy sposób poznawać to, co pozornie bliskie i oczywiste.

W „Etnografii do kieszeni” chcemy dać Wam teksty oparte na takich badaniach. Teksty młodych etnografów i etnografek, którzy wyruszają w warszawski teren, aby zadawać głupie pytania i bacznie obserwować rzeczywistość, a potem podjąć próbę opisania swoich doświadczeń i wiedzy wyniesionej ze spotkania. Miłej lektury.

**etno
grafia
do
kieszeni
numer 1**

Paweł Jeleniewski

Dominik Szczepański

Monika Sznel

Autorzy: Paweł Jeleniewski, Dominik Szczepański, Monika Sznel

Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe, zbiory prywatne

Redakcja: Anna Chlebicka, Anna Czyżewska, Róża Rzeplińska

Redakcja numeru: Róża Rzeplińska

Korekta: Krzysztof Smólski

Opracowanie graficzne i skład: Wojciech Mejor

Druk: Drukarnia EFEKT, ul. Lubelska 30/32, 03-802 Warszawa

Wydawca:

Stowarzyszenie „Pracownia Etnograficzna” im. Witolda Dynowskiego

00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24/12

e-mail: pracowniaetnograficzna@gmail.com

www.etnograficzna.pl

W publikacji wykorzystano teksty powstałe w ramach „Laboratoriów etnograficznych” prowadzonych przez Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Wydanie I, Warszawa 2012

Nakład: 1000 egzemplarzy

Publikacja bezpłatna

Publikacja sfinansowana ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

ISBN: 978-83-936208-1-4

**etno
grafia
do
kieszeni
numer 1**

Paweł Jeleniewski

Dominik Szczepański

Monika Sznel



Ethnography makes us notice the world, every odd part of it. It helps us become curators of the ordinary, historians of contingency, impossible realists.¹

Ethnography is fun.

James Clifford dla „Etnografii do kieszeni”

1 „Etnografia sprawia, że zaczynamy dostrzegać świat w całej jego złożoności. Dzięki niej stajemy się kustoszami codzienności, historykami przypadkowych zdarzeń, nie-możliwymi realistami.”

Od redakcji

Kiedy się siedzi w sali wykładowej, a wykładowca snuje etnograficzną opowieść, bywa, że myślą jest się za oknem, w niezbadanym świecie tubylców. My, etnografowie, bardzo chcemy go opisać. Więc szukamy ludzi, którzy pomogą nam go zrozumieć. Wychodzenie w teren ma kilka etapów: to zapraszanie do rozmowy, zadawanie pytań, zbieranie materiału i najtrudniejsze – pisanie.

Etnograf musi opanować strach przed poproszeniem o wywiad i pokonać wstyd przed włączeniem dyktafonu. To proste? O nie. To groza trudnych pytań, jakie zadajemy w intymnym spotkaniu z rozmówcą. Całkiem obcy człowiek ma obnażyć siebie, swoje lęki, uprzedzenia, swój sposób konstruowania świata, wspomnienia, które go ukształtowały. W tym zderzeniu jest coś z pola walki, z negocjacji między badaczem, chcącym za wszelką cenę wiedzieć, a rozmówcą, który – często zażenowany naszą niewiedzą – musi oświecać.

Przed Państwem trzy warszawskie teksty młodych badaczy, studentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Ich spojrzenie na stolicę jest szczególne. Wszyscy urodzili się kilkaset kilometrów stąd. Przyglądają się warszawiakom jak egzotycznym tubylcom.

Monika Sznel prowadzi nas przez społeczne dzieje Powiśla. Rysuje kilka perspektyw, od robotniczych przedmieść, przez urzędnicze kamienice, po imprezowe podcienia mostów. Jej przewodnikami po zmieniających się ulicach są rzemieślnicy, działacze pozarządowi i zwykli mieszkańcy.

Kilkadziesiąt metrów wyżej, po dawnym szlaku królewskim, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, wędruje **Paweł Jeleński**. Od baru do baru, w oparach alkoholu, stara się odtworzyć życie towarzyskie stolicy sprzed 40 lat. Jego rozmówcami są amatorzy towarzyskiego pijaństwa i uczestnicy tamtych zabaw.

Dominik Szczepański pojechał na inteligenckie blokowisko. Namówił na wspomnienia pionierów Ursynowa. Ówcześni trzydziestolatkowie nie mieli gdzie robić zakupów i w czynie społecznym sadzili drzewa, za to ich mieszkania miały dodatkowy pokój do pracy umysłowej. Opowieść rozmówców to zapis mentalności z czasów niedoboru.

Alkohol po Warszawsku

Paweł Jeleniewski

Banałem byłoby stwierdzenie, że w PRL się piło. Picie było elementem spędzania wolnego czasu, a i w pracy niejednemu było na rauszu, wstawiony lekko. Piło się na wesoło, na smutno, w samotności, w towarzystwie, w domu, w lokalu, w bramie i pod płotem. Gdy była okazja i gdy jej nie było. Pili wszyscy, niezależnie od statusu. W *Niewinnych czarodziejach* Andrzeja Wajdy bohaterami są młodzi inteligenci. Lubią jazz, czytają *Przekrój*, chodzą na mecze bokserskie. Wieczorami odwiedzają warszawskie kluby, gdzie z barowych stołków lustrują sale w poszukiwaniu klawych dziewczyn. Prowadzą z nimi rozmowy niebanalne, intelektualne, okraszone ironią. Wszystko to zakrapiają słuszną ilością alkoholu.

To jeden z wzorów picia inteligenckiego¹, o którym najchętniej rozmawiali moi rozmówcy – trochę podstarzali dziś, kiedyś stali bywalcy stołecznych knajp, barów kawowych i klubów. Odwiedzając Bajkę, Piotrusia, Amatorską, spotykałem panów po sześćdziesiątce, którzy od trzech dekad, lub dłużej, przychodzą do kawiarni na Nowym Świecie. Mają stałe miejsca przy stolikach, spotykają się tą samą paczką, co kiedyś, zamawiają to, co zwykle. Drugą grupą rozmówców byli rodzice moich znajomych.

Pomysł na temat pojawił się sam – życiem społecznym w PRL interesowałem się już jakiś czas, w barach kawowych na Nowym Świecie przesiadywałem, stali bywalcy przykuli moją uwagę. Historii o bujnym życiu towarzyskim w tamtych czasach nasłuchiwałem się sporo. W pamięci moich rozmówców, obok krytyki systemu władzy, ograniczania swobód obywatelskich, wolności słowa, zamykania ludzi w więzieniach, istnieje cały obszar wspomnień życia codziennego – co i jakim sposobem udało się załatwić, ile to nastęrczyło trudności, a przede wszystkim: jak to ludzie byli dla siebie miłsi i życie towarzyskie kwitło, „nie to co dziś”. Oczywiście życie towarzyskie podlewane alkoholem.

W 1954 roku Stefan Kisielewski w jednym z artykułów w Tygodniku Powszechnym określił sobie współczesnych jako

wielomilionową, a może i miliardową masę ludzi normalnych (proszę się niemądrze nie śmiać!), nie żadnych nałogowców, lecz spokojnych i poważnych pracowników, którzy jednak czasem odczuwają potrzebę wypicia pewnej, niezbyt wielkiej, ilości alkoholu. (Kisielewski 1954, s. 241)

1 Wzór to: wiele powtarzających się zachowań naśladowanych przez większość jednostek rozmieszczonych na dużej przestrzeni w dłuższych okresach. Operacyjne wyznaczniki tak pojętego wzoru picia: to częstość picia, ilość, poziom intoksykacji, rodzaj alkoholu, towarzystwo, okazja, miejsce, obecność namawiania (Świątcicki 1969, s. 26).

Krótkie wprowadzenie historyczne

Po okresie stalinizmu, w 1956 roku do władzy w Polsce dochodzi Władysław Gomułka. Nowy I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obiera „kurs na człowieka”. Władza promuje nowy styl życia. „Ascetę-rewolucjonistę” zastępuje „świadomy klasowo” obywatel PRL, który nareszcie może konsumować owoce socjalizmu. Intensywną powojenną odbudowę kraju, naznaczoną wielkimi budowlami, zaciskaniem pasa i walką z wrogiem wewnętrznym, zastępuje „mała stabilizacja” – okres względnego spokoju i zelżenia represji, połączony z pochwałą umiarkowanego konsumpcjonizmu. Masowo buduje się wówczas bloki mieszkalne, młode małżeństwa dostają własne mieszkania, kupują pierwszy samochód, telewizor i zestaw mebli na wysoki potysk.

Zmiany w stylu życia wiążą się również ze zmianą w przestrzeni publicznej miast. Przestrzeń, do tej pory oficjalnie zarezerwowana dla manifestacji poparcia władzy ludowej, zmienia swój charakter. Pojawiają się miejsca publiczne dla zwykłych ludzi, gdzie można spotkać się poza domem, porozmawiać, potańczyć. W latach 60. XX wieku w Warszawie powstają nowe lokale gastronomiczne. Otwarcie barów mlecznych i kawowych, restauracji z danciem czy klubów studenckich szeroko opisywała prasa. Chociaż w PRL wskaźnik liczebności tego typu przybytków wynosił zaledwie 22 na 1000 mieszkańców, co klasyfikowało nas daleko za innymi krajami demokracji ludowych (np. w Czechosłowacji było to 120 lokali na 1000 mieszkańców) (Brzostek 2007), to i tak w stosunku do lat 50. zauważalny był ich ponad dwukrotny wzrost. Zarówno zwiększenie liczby lokali gastronomicznych, jak i podwyższenie zarobków sprawiły, że ludzie chętniej zaczęli spędzać czas poza domem. Według badań OBOP przeprowadzonych w latach 60. ponad 32% ankietowanych

mężczyzn i 4,2% kobiet „ostatnim razem” piło alkohol w restauracji lub bufecie (Kosiński 2008).

To był inny czas, teraz knajpy są puste, wtedy wychodziło się poza dom. Ludzie uciekali z domów, żeby być gdzieś, w takim anturazie, sympatycznym

– stwierdził z rozrzewnieniem mój rozmówca, filozof, spotkany w barze Agatka, przy ulicy Żeromskiego.



„To był inny czas, teraz knajpy są puste, wtedy wychodziło się poza dom.”

Autor: Zbyszko Siemaszko / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Szlak królewski

Takim **sympatycznym środowiskiem naturalnym**, w którym spotykali się wszyscy, był legendarny „szlak królewski”. Fukier, Hopfer, Kuchcik, Kamieniołomy, Harenda, SPATiF Melodia – szlak tworzyły lokale gastronomiczne na osi Traktu Królewskiego. Bywanie na szlaku było częścią stylu życia. Na szlaku pojawiali się artyści, przedstawiciele wolnych zawodów.

Wstaje artysta, ma kaca, no to się zwleka o 11.00, 12.00 i idzie szlakiem królewskim. Wpada sobie do barku, tam już są znajomi, więc czasem jak wpada, to już zostaje na dwa dni

– zauważył żartobliwie jeden z moich rozmówców, znany dziennikarz.

Jedni przemieszczali się z Rynku Starego Miasta w kierunku Placu Trzech Krzyży, inni na odwrót, zaczynali od lokali usytuowanych naprzeciwko kościoła św. Aleksandra i podążali w stronę kolumny Zygmunta. Kierunek nie był ważny. Przemieszczanie się szlakiem różniło się w zależności od zamożności, wieku i aspiracji wędrujących po nim, a także od pory dnia.

Studenci na przykład w latach 60. i 70. licznie odwiedzali Pobiernię Centralnej Piwnicy Win Importowanych, U Fukiera i U Hopfera, szczególnie modne w latach 60., a także Harendę przy ul. Obożnej. Cena niemalże równa tej w sklepie – były to winiarnie państwowe, więc trunki sprzedawano z symboliczną marżą – sprawiała, że U Fukiera i U Hopfera zawsze panował tłok. Wino, pochodzące z Bułgarii, Mołdawii, Gruzji, a także z Algieru, podawano w szklankach. Jak wspomniał artysta plastyk, który w okresie studiów był stałym gościem obu restauracji, był

to lokal ekskluzywny, bo

tam sprzedawano „kwaśne wina”, jak to mawiali wszyscy miejscowi lumpkowie. W związku z tym oni na kwaśne wino nie przychodzili i tam była zupełnie inna atmosfera.

Atmosferę tę tworzyli nie tylko ludzie odwiedzający te miejsca, ale również obsługa. Barman czy kelnerka to był człowiek instytucja, a zażyła znajomość z nimi nadawała specjalny status – status bywalca. Szczególną atmosferę U Hopfera tworzyła pani Stasia, barmanka. Pozwalała brać biednym studentom alkohol bez zapłaty, „na kreskę”, pod zastaw przyjmowała obrazy przyszłych słynnych malarzy, bo znaczną część odwiedzających stanowili studenci i wykładowcy Akademii Sztuk Pięknych. Artystyczny, mniej oficjalny klimat tego miejsca sprawiał, że bardzo łatwo nawiązywało się nowe znajomości. Ludzie, którzy tam bywali, byli [otwarcy na kontakty](#).

W ogóle bywanie na szlaku opierało się na zawiązywaniu nowych znajomości. Poznawano się przy kieliszku. Czasem zawiązywały się tylko relacje przelotne, jednorazowe, niektóre o charakterze pragmatycznym, żeby „coś załatwić”. Czasem – „na zawsze”. Szczególny rodzaj znajomości stanowiły te z osobami powszechnie znanymi, które również odwiedzały lokale przy Trakcie Królewskim. Szlak był bardzo demokratyczny. W Harendzie pojawiał się Jerzy „Jurry” Zieliński, znany malarz.

[Byłem z nim też zaprzyjaźniony, tu bywał u mnie w domu. Pięć gro-
szy byś za niego nie dał. Jak szedłem z dziewczyną jakąś subtelną,
a widziałem go, to przechodziłem na drugą stronę ulicy](#)

– opisał z nim swoją znajomość matematyk, stały gość Harendy. Jak łatwo zauważyć, mimo że malarz swoim wyglądem zaufania nie wzbudzał, mój rozmówca podkreśla istotę znajomości z Zielińskim. Podobnie ma to miejsce, kiedy w opowieści o szlaku pojawia się duet Zdzisław

Maklakiewicz i Jan Himilbach. Szczególnie prywatna relacja z tym drugim to powód do dumy. Ten sam rozmówca wspomina:

osobiście go znam. Miałem u niego osobistą ksywkę. Archirej mnie nazywał. „Archirej, zaprowadź mnie do taksówki”. Pod koniec życia, jak już o lasce chodził ledwo, schorowany. „Archirej, zaprowadź mnie do taksówki”. Strasznie uprzejmy [...] przy jednym stoliku siadywaliśmy.

Taka szczególna znajomość nie była udziałem tych, którzy knajpy na szlaku odwiedzali sporadycznie. „Zaszczyt” ten spotykał tylko osoby z towarzystwa, zatem przyznawanie się do znajomości z Janem Himilbachem czy Jerzym Zielińskim było wówczas, i jest obecnie, potwierdzeniem statusu stałego bywalca.

Nie tylko odpowiednie towarzystwo przy kieliszku buduje status. Ważna jest również znajomość knajpianych legend. Moi rozmówcy przytaczali zwłaszcza dwie. Pierwsza to historia o tym, jak Jan Himilbach, przychodząc do restauracji razem z Maklakiewiczem, przyprowadził psa. Kelner, przy całej sympatii dla pary, zwrócił im uwagę, że czworonóg w ekskluzywnym lokalu gastronomicznym to znaczna przesada, na co Himilbach odpowiedział:

Nie pierdol, myśmy się tylko przysiedli.

Inna z legend opowiada o wyścigu prostytutek, jaki Janusz Głowacki, pisarz, dramaturg, słynny warszawski *bon vivant*, zorganizował z kolegami. Panowie zaprosili w Kamieniołomach panie do towarzystwa i zaproponowali im zawody sportowe. Pierwsza, która z lokalu w Hotelu Europejskim dobiegła do Kameralnej, miała kontynuować wieczór z towarzystwem. prostytutki przystały na propozycję i popędziły na Foksal. Kiedy wpadły zdyszane do Inwalidów, sędziowskie grono, które na miejsce przybyło taksówką, orzekło, że dopatrzono się falstartu i wyścig trzeba powtórzyć.

Takich opowieści powstało mnóstwo i zasługują na osobną książkę. Można odnieść wrażenie, że dziś legendą jest niemalże wszystko, co wydarzyło się na szlaku.

Nocne życie i „Królowa knajp”

Królowa knajp – tak Kameralną, miejsce przesiąknięte warszawskim klimatem, nazwał Olgierd Budrewicz w *Bedekerze Warszawskim*. Kameralna, popularnie nazywana U Inwalidów bądź Kamerą, jest kluczowa dla opowieści o bywaniu na szlaku. Jeden z moich rozmówców zapytany o ten lokal stwierdził, że udzielenie wyczerpującej odpowiedzi zajęłoby mu dwa dni. Świetność tej knajpy trwała nieprzerwanie przez niemal trzy dekady – od początku lat 50. do końca lat 70. Mój rozmówca wspomina, że do Kameralnej

waliły tłumy, bo każdy chciał uczestniczyć w tym życiu, obserwować tych ludzi,

ludzi należących do śmietanki towarzyskiej Warszawy, i poprzez wspólne uczestnictwo w zabawie zostać przypisanym do tej grupy. Kto tam przychodził?

To się mówiło, że tam przychodziły pędaty, kurwy, złodzieje, literaci, lekarz, no wszyscy; wszyscy, no i jeszcze ja

– wspomina ten sam rozmówca. Rzeczywiście tak było, że do klienteli restauracji przy Foksal należeli przedstawiciele różnych grup społecznych. Swoje miejsce mieli prywaciarze, spekulanci, półświatek, prostytutki, ale ton nadawali literaci, dziennikarze, przedstawiciele inteligencji. Można

tam było spotkać Janusza Minkiewicza – satyryk zawsze zamawiał koniak i owoce południowe, a kelner podawał ogórki kiszone i wódkę. Przychodzili Roman Polański, Agnieszka Osiecka czy najstawniejszy bywalec Kamery, Marek Hłasko, który potem przez całe swoje emigranckie życie tęsknił do tego miejsca. Przychodzili też przedstawiciele władzy i zbierający haki ubecy, którzy na usługach mieli szatniarzy. To kolorowe towarzystwo przy kontuarze zapominało na chwilę o dzielących je różnicach.



„Do knajp waliły tłumy, bo każdy chciał uczestniczyć w tym życiu, obserwować tych ludzi.”

Na zdjęciu Sławomir Mrozek

Autor: Zbyszko Siemaszko / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Na Kameralną składały się trzy lokale:

Odkrywczość tego pomysłu gastronomiczno-architektonicznego polegała na tym, że można było zacząć pijaństwo w Kameralnej drugiej dziennej już wcześniej rano; po czym można było przejść na obiad do Kameralnej pierwszej, bawić się kielichem do wieczora, kiedy to otwierano Kameralną nocną, i tam dopiero wyrobić się towarzysko i dramatycznie (Hłasko 1988)

– pisał w *Pięknych dwudziestoletnich* Hłasko, nazywany apologetą lokalu przy Foksal.

Wszystkie te lokale miały swoje popularne nazwy. Kameralną nocną nazywano **nocnikiem**, na bar mówiło się **na wysokich stołkach**, a trzecią salę określano mianem **dla ubogich**. Kiedy jeden z lokali zamykał swoje podwoje, otwierał je następny. Dzięki temu osoba, która przyszła do Inwalidów, mogła spędzić tam całą dobę, przechodząc z jednego punktu gastronomicznego do drugiego, by wieczorem trafić do nocnego klubu. Mogła, jeśli spełniała warunki ściśle określonej etykiety. O ile wizyta w barze **dla ubogich** od klienta nie wymagała określonego stroju, to już w nocnej owszem. Panie musiały być elegancko ubrane, panowie koniecznie w marynarce. Niektórzy – jak Hłasko, stały bywalec – mogli pozwolić sobie na nie łąda luksus i zostawić w szatni marynarkę „na wszelki wypadek”. Niektórym jednak i marynarka nie pomogła, bo wejście do Kameralnej zależało przede wszystkim od dobrej woli portiera. Wejście zawsze wiązało się z nakładem finansowym. Obsługę po prostu trzeba było przekupić. Dopiero po okazaniu

biletu Narodowego Banku Polskiego wpuszczano i okazywało się, że pół sali jest puste

– zauważył mój rozmówca. Niektórzy próbowali powołać się na znajomość z Minkiewiczem, jeszcze inni podszywali się pod donosicieli,

rzekomo umówionych z pułkownikiem Urzędu Bezpieczeństwa przy barze. Najpewniej było jednak „dać w łapę”.

Kiedy udało się już sforsować przeszkodę w postaci odźwiernego, wybierało się kelnera. Niektórzy potrafili czekać na stolik tylko po to, żeby obsługiwał ich ulubiony kelner.

On miał czas pogadać z klientem, miał czas wypić. Były tzw. służbowe kieliszeczki, które w butonierce kelner nosił w tym swoim kitlu i podstawił przy rozlewaniu, polewał sobie. To zupełnie co innego było niż tej chwili

– wspominał z rozrzewnieniem jeden z moich rozmówców, muzyk, który w swoim życiu odwiedził niejedną warszawską knajpę. Dorabiał, grając wieczorami na dancinгах.



Opowieści o świetnej obsłudze są nieodłączną częścią narracji o bywaniu na szlaku.
Autorka: Grażyna Rutowska / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Opowieści o świetnej obsłudze są nieodłączną częścią narracji o bywaniu na szlaku. We wszystkich lokalach pracownicy byli „lepsi”, „milsi”, „nie to co dziś”, mimo że czasem nie chcieli wpuścić, jak odzwierny w Kameralnej, nie chcieli nalać wódki czy okantowali pijanego klienta. Nie należy jednak zapominać, że snującymi legendę o szlaku są stali bywalcy, a nieprzyjemności dotyczyły tylko zwykłych, tych spoza kręgu, którym rzadko kiedy udawało się dostać do środka. Moi rozmówcy nie mają złych wspomnień; ich z obsługą łączyła relacja głębsza, niż ma to zwykle miejsce między klientem a pracownikiem lokalu gastronomicznego.

Obsługa to byli ludzie zaufani. Tak na przykład prywaciarz – ten zawsze operował dużą gotówką, którą nosił przy sobie w portfelu – nie bał się, że ktoś go okradnie,

że ktoś go porwie, że ktoś go stuknie

podczas zabawy w Kamieniołomach. W tym nocnym lokalu Hotelu Europejskiego pod koniec lat 70. pracował za barem pan Bronek. Jeśli komuś zabrakło pieniędzy, pełnił on rolę jednoosobowego lombardu. Można było u niego zastawić na przykład zegarek, a przy kolejnej okazji – czytaj: następnego wieczoru – wykupić zastaw. Kiedy stały bywalce, mówiąc delikatnie, w stanie upojenia alkoholowego opuszczał nad ranem gościnne progi Kamieniołomów, barman zamawiał zaufanego taksówkarza, który bezpiecznie odwoził pijanego do domu.

Obsługa obsługą, ale przecież stali bywalcy nie przychodzili tylko dla niej. Darzono ją szacunkiem, przyjaźniono się z nią, ale do lokali na szlaku przychodziło się przede wszystkim dla towarzystwa.

Do towarzystwa można było należeć ad hoc – mogli je tworzyć znajomi ze szkoły, studiów, z jednej kamienicy, jednej dzielnicy czy miejsca pracy. To była przynależność oczywista. Istniały jednak i takie towarzystwa, ocieranie się o które, nie mówiąc już o należeniu do nich, było

nie łączyła nobilitacją. Na przykład samo bycie przywołanym do stolika jednego ze znanych literatów w jednej z knajp szlaku, jak wspominał mój rozmówca, dziennikarz, było najlepszym sposobem na zawrócenie w głowie pożądanej dziewczynie, zyskanie jej podziwu. A takich sławnych literatów w Warszawie było kilku i wszyscy bywali.



Do towarzystwa można było należeć ad hoc - mogli je tworzyć znajomi ze szkoły, studiów, z jednej kamienicy...

Autor: Zbyszko Siemaszko / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Aby zostać uznanym za część towarzystwa, trzeba było zostać zaproszonym do wspólnej konsumpcji alkoholu. Napicie się z kimś wódki przełamywało barierę intymności, sprawiało, że ktoś z obcego stawał się swój (Wedel 2007, s. 64). Picie alkoholu adresowane do kogoś, a nie w sytuacji ogólnej, było rodzajem zbratania, fraternizacji – od tej chwili należało się do „jednej paczki”.

Nieodłącznym elementem rytuału² picia był bruderszaft. Jak wyglądał? Para pijąca w ten sposób alkohol przeplatała ręce z kieliszkami wódki, wypijała alkohol, a następnie po wypowiedzeniu swoich imion całowała się po policzkach trzy razy. Od tej pory relacja między dwiema osobami nabierała prywatnego charakteru.

Oczywiście na bruderszaft trzeba było poczekać, nie można było od razu przejść na „ty”. To byłoby niegrzeczne. Jak już napisałem, włączenie kogoś w poczet dobrych znajomych poprzedzone było okresem budowania wspólnego zaufania, poznawania się, aby mieć pewność, że jest to osoba odpowiednia, czyli posiadająca ten sam status społeczny lub zastępująca na nobilitację. Dlatego nigdy propozycja bruderszaftu nie mogła wyjść od osoby młodszej, cieszącej się w towarzystwie mniejszym autorytetem. Nie do pomyślenia było, żeby ktoś w Kameralnej podszedł na przykład do Minkiewicza i zaproponował mu przejście na „ty”. Owszem, jak wspomniał mój rozmówca, na przykład w SPATiF-ie³ zdarzało się, że ktoś podszedł do znanego aktora i grzecznie zapytał czy może postawić kolejkę, ale prośba o bruderszaft bez uprzedniej „weryfikacji” statusów byłaby co najmniej nie na miejscu. Postawienie kolejki i bruderszaft to dwie różne formy wspólnej konsumpcji.

Jak jednak wspomniałem, nie każda znajomość miała charakter aspiracyjny i nie każda wiązała się z przestrzeganiem ścisłej etykiety. Można było przyjść do restauracji czy klubu nocnego po to, żeby spędzić czas, wydać trochę gotówki. Moi rozmówcy zgodnie zauważyli, że nigdzie tu, czyli w Polsce, nie można było wydać pieniędzy, bo nie było na co.

2 Dobrowolne wykonywanie uwzorowanego zachowania w celu symbolicznego oddziaływania na życie poważne lub uczestnictwa w nim (Rothenbuhler 2003, s. 73).

3 Inaczej U Aktorów – Restauracja Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu w Alejach Ujazdowskich. Miejsce zabaw warszawskich środowisk artystycznych. Moi rozmówcy mówili o nim mało, dlatego w swojej pracy nie poświęcam mu wiele miejsca.

Dlatego czas spędzało się ze znajomymi przy kieliszku, kieliszkach, butelce, butelkach.

Ze znajomymi picie zawsze miało charakter zabawowy – „balanga”, „impreza”, „balety”. Nigdy celem nie było, jak to określił cytowany wcześniej przeze mnie rozmówca, muzyk, **żeby wulgarnie się upierdolić**. Nie znaczy to, że pito mało. Wręcz przeciwnie, konsumowano duże ilości alkoholu – **na max** – stwierdził bywalec-prywaciarz, nigdy jednak nie było **burd, scysji**. Integracja, rozmowy, wspólne zabawy, wygłupy, to był prawdziwy powód spotkań – zawsze związany ze wspólnotą doświadczeń.



Do lokali na szlaku przychodziło się przede wszystkim dla towarzystwa.

Autor: Zbyszko Siemaszko / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wspólne przeżywanie nie zawsze miało charakter radosny. Pierwszego sierpnia przeżywano w sposób warszawski. Weterani Powstania

zamawiali u orkiestry w Kameralnej repertuar konspiracyjno-powstańczy i pokazywali, gdzie drasnęła ich kula, zalewając się przy tym łzami.

Tematy polityczno-historyczne pojawiały się nie tylko przy okazji rocznic. Czymże byłoby towarzyskie picie, gdyby nie nocne Polaków rozmowy? Spotkania przy wódce w nie obfitowały. Moi rozmówcy wspominają, że to nad kieliszkiem przez cały okres od 1945 do 1989 roku rozmawiali na trudne tematy. W stanie wojennym⁴ zastanawiali się, jak rozwiną się wypadki, dyskutowali możliwe scenariusze, stawiali losy, czy interweniują Sowieci.⁵ Oczywiście na poruszenie tego tematu można było sobie pozwolić wyłącznie w zaufanym gronie, czyli najbliższym towarzystwie, a i to nie zawsze, bo przecież ktoś mógł się okazać szpiclem SB.

Alkohol był przy takich rozmowach niezbędny, bo po pierwsze dodawał odwagi, po drugie rozwiązywał ludziom języki, po trzecie zaś udzielał tymże rozmowom aury duchowej. Duchowej, czyli takiej, która według amerykańskiej antropolog Janine Wedel – w stanie wojennym przebywającej na stypendium Fulbrighta w Polsce – pasie się **wódką i zakąską**, i ma konotacje moralne, religijne, emocjonalne, dotyczące duszy. Wedel twierdziła, że

imprezy połączone z piciem wódki były wówczas podstawowym składnikiem życia społecznego, a udział w nich stwarzał poczucie wspólnoty (Wedel 2007, s. 65).

4 Stan nadzwyczajny wprowadzony w Polsce 13 grudnia 1981 roku (trwał oficjalnie do 22 lipca 1983 roku), na mocy którego na ulice wyprowadzono wojska, by (wg wersji oficjalnej) zapanować nad złą sytuacją gospodarczą, w rzeczywistości zaś po to, by stłumić ruch opozycyjny w postaci „Solidarności”.

5 Ogłoszona 26 września 1968 roku na łamach „Prawdy”, po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechach. Zgodnie z nią w razie ogłoszenia secesji przez jedno z państw bloku wschodniego zjednoczone siły sojuszu miały prawo wkroczyć na jego teren i „zaprowadzić porządek”.

„Czy pan na Pragę?”, czyli meliny

„Melina” osobom, które o szlaku wiedzą niewiele bądź wcale, może kojarzyć się jak najgorzej – brudny bar, gdzie kelner przeciera śmierzdzącą szmatą kieliszki, „klientela spod ciemnej gwiazdy”, trefny alkohol. Jednak w czasach, kiedy moi rozmówcy bywali na szlaku, melina to była instytucja niezwykła, niezwykle przydatna i zaufana.

Alkoholizm w PRL był chyba najbardziej niebezpieczną z chorób trawiących polskie społeczeństwo, władza co rusz wprowadzała ograniczenia jego sprzedaży. Był czas, że podawano go wyłącznie „z konsumpcją”, czyli w lokalu gastronomicznym nie można było go zamówić bez zakąski. W 1981 roku na zakup alkoholu wprowadzono kartki⁶. Rok później zaczął obowiązywać zakaz sprzedaży alkoholu przed godziną 13.00. Miejscami, gdzie trwał niczym nieograniczony handel alkoholem wysokoprocentowym, z zakąską czy bez, bez kartek, były meliny. Nielegalne, pojawiające się w telewizji lub na łamach gazet tylko w negatywnym kontekście – bo prowadzili je „spekulanci”, bo ktoś kupił trefny alkohol i otrął się, oślepl – przez warszawskich bywalców były uwielbiane. Alkohol można było tam dostać o każdej porze dnia, 365 dni w roku.

Kiedy nad ranem przychodził taki moment, że zamykano wszystkie nocne lokale, a bywalcy wciąż nie mieli dość picia, nie urządzano wybieżek do sklepu całodobowego, bo przecież go nie było. Taksówkarze znający miasto [od podszewki](#) zawsze wiedzieli, gdzie szukać alkoholu. Wystarczyło rzucić hasło „na melinę!”, a taryfa wiozła na ul. Brzeską lub na Plac Zbawiciela. Pod arkadami Placu siedziały kwiaciarki, które

⁶ Kartki, czyli specjalne kupony, określające miesięczny przydział alkoholu na jednego dorosłego obywatela, bez których nie można było go kupić. Wnosił on pół litra wódki lub wina krajowego. Kartki na alkohol służyły jako nieoficjalna waluta, szczególnie w okresie wysokiej inflacji.

w wazonach trzymały nie tylko kwiaty. „[Fłaszeczkę?](#)”, pytały przechodniów spoglądających na wazon. W wodzie pomiędzy łodygami chłodziły się butelki wódki. Trunek był nieco droższy niż w sklepie. Jeśli w oficjalnym obiegu 0,5 litra kosztowało 25 złotych, to na melinie 30.

Po praskiej stronie Wisły można było kupić zamiast całej butelki szklankę wódki. Po Różycu⁷ przechadzały się panie, które sprzedawały pyzy i flaki z gara jako zakąskę i alkohol na porcje. Cytowany już przeze mnie muzyk wizyty na bazarze przyrównał do zakupów we współczesnych fastfoodach McDrive,

[bo szybkę się odkręcało, pani z obfitym biustem podchodziła i sprzedawała pyzy czy flaszeczkę.](#)

Cała ulica Brzeska dorabiała sobie, nielegalnie sprzedając alkohol. W podwórzach kamienic, w starych studniach chłodziły się butelki Żytniej. Do zatrzymujących się taksówek podbiegały dzieci, pytały „ile” i z pieniędzmi znikwały w bramie, by za chwilę przynieść odliczoną resztę i butelkę. Jako że był to, jak określił to mój rozmówca, [profesjonalny biznes](#), nigdy nie został [wzięty pod bajer](#)⁸. Ktoś musiał być naprawdę [pod ankoholem](#)⁹, żeby uraczono go wodą lub oszukano przy wydawaniu pieniędzy. Takie sytuacje zdarzały się rzadko, bo fama rozeszłaby się szybko i klienci przenieśliby się do następnej bramy.

Odwiedzania melin nikt się nie wstydził, była to praktyka powszechna, dziś wspominana z rozrzewnieniem. Jeśli sklepy były pozamykane, lokale gastronomiczne nieczynne, odpowiedź była prosta – [w taksówkę, na Brzeską](#). Często wizyta tam ratowała przed towarzyskim blamażem. Jeden z moich rozmówców, z wykształcenia matematyk, kiedyś pracownik Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk, opowiadał mi,

7 Różyc – Bazar Różyckiego przy ul. Targowej na Pradze.

8 Być wziętym pod bajer – być oszukanym.

9 Pod ankoholem – być pijanym.

jak przyjechali do niego znajomi z Niemiec, których poznał na saksach¹⁰. Rok 1982, noc, stan wojenny, godzina policyjna, sklepy pozamykane, knajpy też, taksówki nie uświadczysz na ulicy. Udało im się złapać autobus nocny pędzący do zajezdni. Za dwa dolary kierowca zawiózł ich na melinę i z powrotem do Śródmieścia. Taki **typowo warszawski folklor** – stwierdził.

„Gdzie pędzisz?”

– Gdzie pędzisz?

– U teścia na działce.

Taki dowcip funkcjonował pod koniec PRL. Odkąd wprowadzono kartki, miesięczny przydział alkoholu na jedną osobę dorosłą wynosił 0,5 litra. Przy powszechnej i rozpasanej jego konsumpcji taka ilość nie była wystarczająca. Oprócz handlowania kartkami ludzie pędzili własny alkohol.

Cały Ursynów śmierdzał bimbrem, profesorowie uniwersytetu włącznie pędzili wodę w łazienkach

– wspomniał mój rozmówca, dziś sam profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Drożdże, ziemniaki, owoce, cukier, odpowiednia aparatura i można było produkować koniak pędzony nocą czy księżycówkę. Nikt nie obawiał się szkodliwości, o której szeroko rozpisywały się gazety, którą głosił z ekranu lektor Polskiej Kroniki Filmowej. Wręcz przeciwnie.

¹⁰ Wakacyjna praca za granicą, często zbieranie owoców. Na saksy jeździło się do krajów zachodnich.

Moi rozmówcy, mówiąc o latach 80., wspominali, że wódka dostępna w sklepach monopolowych była **obrzydliwa, niesmaczna, wykręcała flaki**, za to bimber smaczny i **na pewno zdrowszy**. Nikt też nie obawiał się surowych kar, jakie czekały nieostrożnych bimbrowników. Za nielegalną produkcję alkoholu można było trafić do więzienia lub zapłacić wysoką grzywnę. Mimo to robiono sobie żarty. Rozpowsiadano na przykład, że ktoś „pędzi” i do jego mieszkania odbywały się pielgrzymki spragnionych, **pakowali się do niego po wóde, a on mówił: „Panowie, ja nie mam”** – opowiadał mi rozbawiony rozmówca.

Budki z piwem

W latach 80. alkohol był trudno dostępny w ogóle, a dwie dekady wcześniej **nigdzie nie można było** dostać piwa. Jeśli już pojawiło się w sklepie, to ustawiały się po nie ogromne kolejki i momentalnie zniknęło z półek. Profesor UW wspominał, że warszawskie towarzystwo zimą jeździło na narty do Zakopanego nie tylko po to, żeby oddawać się zimowym sportom, ale też żeby napić się pysznego Żywca. Żywiec, Królewskie, produkowane w dawnych browarach Habermuscha i Schielego, to był piwny luksus.

Podobnie jak meliny budki z piwem dziś kojarzą nam się źle. Do potocznego języka na stałe weszło określenie, że coś lub ktoś może być „spod budki z piwem”, co znaczy, że odznacza się prymitywizmem i brak temu czemuś lub komuś kultury. Posądzanie moich rozmówców o brak kultury lub prymitywizm jest co najmniej nietrafione, a niemalże wszyscy korzystali z usług tychże budek i określili je jako **zdrowe** instytucje.

Czym były? Nieduże, najczęściej zielone, drewniane budko-baraczki

z okienkiem, przez które podawano piwo, otoczone ladą, przy której zawsze ktoś stał i popijał. Rozstawione w całym mieście przy skrzyżowaniach głównych szlaków komunikacyjnych, [zapraszały](#) na [jedno szybkie](#) przed pracą, w przerwie i po. Jeśli ktoś w upalny dzień chciał ugasić pragnienie, zatrzymywał się przy budce. Latem szczególnie popularne były te nad Wisłą. Ciągnęły się wzdłuż lewego brzegu rzeki od Marymontu aż po Most Poniatowskiego. Spacer od Albatrosa przez Pod Rurą i Żagielek aż do Araba był letnią rozrywką, szeroko praktykowaną przez studentów. Korzystanie z budek z piwem nikomu nie przynosiło ujmy, miłośnikiem tych przybytków był na przykład profesor Kazimierz Wyka, wybitny krytyk literacki.

Korzystający z budek co prawda nie tworzyli zintegrowanego środowiska, korzystano z nich w pośpiechu, nie nawiązując bliższych znajomości, jak to miało miejsce w przypadku lokali gastronomicznych, można jednak z pewnością zauważyć, że takie przybytki były spełnieniem komunistycznego snu o egalitaryzmie społecznym. Każdy dostawał brudny kufel, każdy mógł zostać niemile potraktowany przez bufetową, no i wszyscy pili nienajlepszej jakości piwo.

Budki zaczęły znikać z krajobrazu Warszawy pod koniec lat 60., by wreszcie stać się tylko wspomnieniem. Zlikwidował je Gomułka¹¹, bo – cytując za rozmówcą, archeologiem – [coś mu się w mózgu popierdoliło](#).

11 Władysław Gomułka, I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w latach 1956–1970.

Słów kilka podsumowania

Alkohol dla moich rozmówców – warszawskich inteligentów – jest napojem, którego spożywanie ma przede wszystkim charakter społeczny, zabawowy. Samotne upijanie się na smutno jest tematem, który w rozmowach o szlaku się nie pojawił. Konsumpcja zawsze związana była ze spotkaniem, z towarzystwem. Towarzystwo natomiast było i jest bardzo istotne. Nie tak ważne, co pijesz, ale z kim, jak i gdzie, bo to określało i wciąż określa twój status społeczny, tworzy tożsamość odbitą. Istnieją jednak takie miejsca, w których bywanie wcale nie jest powodem do wstydu, mimo że były egalitarne. Mam na myśli budki z piwem lub meliny. Odwiedzanie tych drugich, kiedyś rzecz powszechna, dziś postrzegane jest jako część warszawskiego folkloru.

Opowieść inteligenta o alkoholu po warszawsku nieodłącznie wiąże się z bywaniem na szlaku. Wspomnienie tej części miejskiej przestrzeni zawsze jest pozytywne, zawsze zestawiane z teraźniejszością i zawsze to porównanie wypada korzystnie dla czasów minionych. **Wtedy** – słowo klucz – wszystko było lepsze, ludzie miłsi, alkohol smaczniejszy, knajpy niezwykle, a obsługa akuratna. Nikt nie wspomina siermięgi życia w PRL, nie przypomina o szarzyźnie codzienności, wszyscy za to snują barwną opowieść o interesujących ludziach, mitycznych miejscach i rytuałach spożywania. Słuchając opowieści o towarzyskim piciu, jego intensywności, zadajemy sobie pytanie, „kiedy ci ludzie mieli czas na pracę?”. Nikt wtedy nie przejmował się upływem czasu, bo i jego postrzeganie było inne. Przecież wszyscy, którzy, mówiąc ogólnie, „nie szli na wspólną pracę z władzą”, w swojej karierze docierali do punktu, z którego bez odpowiednich deklaracji nie mogli „ruszyć dalej”. Atmosfera **ogólnej niemożności**, jak to określił Janusz Głowacki, sprawiała, że spotkania towarzyskie w barze wydawały się dla tej grupy społecznej najbardziej

racjonalną formą spędzania czasu. Pamięć zbiorowa badanej przeze mnie grupy o bywaniu na szlaku królewskim jawi się jako spójna i jest ważnym elementem budowania tożsamości inteligenta tamtych czasów. Być inteligentem i nie pić – to było rzadkie połączenie.

Paweł Jeleniewski (Gdańsk, 1988) – absolwent dziennikarstwa i prawie absolwent etnologii na Uniwersytecie Warszawskim. Student Studium Europy Wschodniej na kierunku Rosja. Leń. Lubi historię.

Literatura

Bogusławski A.

1972 *Zlikwidować przymus towarzyski* [w:] *Alkohol w kulturze i obyczaju*, red. J. Górski, K. Moczarski, Warszawa

Brzostek B.

2007 *Za progiem. Codziennosc w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955–1970*, Warszawa

Dunn E.

2008 *Prywatyzując Polskę: O bobofrutach, wielkim biznesie i restrukturyzacji pracy*, Warszawa

Górski J.

1972 *Alkohol w kulturze i obyczaju*, Warszawa

Hłasko M.

1988 *Piękni dwudziestoletni*, Warszawa

1999 *Pętla* [w:] *Pierwszy krok w chmurach; Następny do raju*, Wrocław

Jastrun M.

2002 *Dzienniki 1955–1981*, Kraków

Kępiński A.

2000 *Rytm życia*, Warszawa

1972 *Motywy polskiego pijaństwa* [w:] *Alkohol w kulturze i obyczaju*, red. J. Górski, K. Moczarski, Warszawa

Kopaliński W.

1968 *W Warszawie i w Warszawce: wybór felietonów z lat 1965–1967*, Kraków

Kisielewski S.

1956 *Rzeczy małe*, Warszawa

Kosiński K.

2008 *Historia pijaństwa w PRL*, Warszawa

Mycielski Z.

1999 *Dziennik 1950–1959*, Warszawa

Nowakowski M.

1989 *Portret artysty czasów dojrzałości*, Warszawa

Podgórecki A.

1969 *Patologia życia społecznego*, Warszawa

Radgowski M.

1972 *Lampka wina, czyli szklanka wódki* [w:] *Alkohol w kulturze i obyczaju*, red. J. Górski, K. Moczarski, Warszawa

Sulima R.

2000 *Antropologia codzienności*, Kraków

Święcki A.

1969 *Alkohol. Zagadnienia polityki społecznej*, Warszawa

Tyrmand L.

1980 *Dziennik 1954*, Warszawa

Wedel J.

2007 *Prywatna Polska*, Warszawa



„Proszę pana, nas łączyła sprawa bardzo poważna i piękna do opowieści historia”

Dominik Szczepański

Pierwszy raz na Ursynów przyjechałem kilka lat temu. Było ciepło, przy budynku Szkoły Główniej Gospodarstwa Wiejskiego rozstawiono wielką scenę. Nie pamiętam, co to był za koncert, ale w głowie mam setki ludzi, którzy wysiedli z metra i ruszyli ścieżką między blokami w kierunku, z którego dobiegała muzyka. Pamiętam zieleń – zróżnicowaną w swojej formie. Jedni siadali z piwem pod drzewami, inni gramolili się na niskie pagórki, których na blokowisku nie brakuje.

Drugi obraz Ursynowa to zima 2011 roku. Wyszedłem tym samym wyjściem z metra. Szukałem bloku przy ul. Wiolinowej 2, gdzie czekał

mój pierwszy rozmówca, który miał mi opowiedzieć, jak znalazł się na Ursynowie i jak pamięta początki osiedla, o którym wtedy prawie nic nie wiedziałem. Było szaro i mokro. Skąd ono się w ogóle wzięło?

W drugiej połowie lat 70. XX wieku na fali gierkowskiego boomu mieszkaniowego w całej Polsce powstawały nowe osiedla. Społeczeństwo, wyposzczone rygorami gomułkowskiej oszczędności, gdy na przydział nowego lokum czekano nawet po kilkanaście lat, oczekiwało zdecydowanych działań władzy. W samym 1978 roku zbudowano w całym kraju 284 tysiące nowych mieszkań. Sztandarowym osiedlem odbudowanej stolicy miał być Ursynów.

Tylko gdzie właściwie leżał wtedy ten Ursynów? I jak kilkadziesiąt tysięcy ludzi z różnych części Polski i samej Warszawy z dnia na dzień zaczęło tam nowe życie? Kim byli, po co się tam przeprowadzili? Czy czuli się jak u siebie?

Poniższa opowieść o Ursynowie to historia kilkudziesięciu pierwszych mieszkańców osiedla, z którymi rozmawiałem. Wprowadzali się do swoich nowych mieszkań pod koniec lat 70. Trzydzieści lat później starali się przypomnieć sobie szczegóły codziennego życia, a także uczucia, które towarzyszyły przeprowadzce i życiu na Ursynowie. Swoje małe historie umiejscawiali na tle ważnych wydarzeń politycznych. Obok ich opowieści staram się nakreślić tło historyczne i specyfikę architektoniczną, które miały duży wpływ na życie na Ursynowie, jednak najważniejsza jest dla mnie pamięć moich rozmówców.



Osiedle domów jednorodzinnych na Ursynowie w Warszawie. W 50. latach hektarami ciągnęły się tam pola kartoflane i buraczane.

Autor: Zbyszko Siemaszko / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rozkosz z dala od centrum

Dla mnie Ursynów był daleką, daleką wsią, ponieważ ja urodziłam się i wychowałam się, i mieszkłam na Żoliborzu, na ulicy Potockiej. Dla mnie Warszawa się kończyła na kinie Moskwa, obecnie Silver Screen¹. I to było maksymalne miejsce na południe od Warszawy, gdzie ja się wypuszczałam. No i do Ursynowa, jak pojechaliśmy oglądać to nasze lokum, to ono było strasznie daleko. Nie do miasta

1 Budynek przy ul. Puławskiej, przy wylocie ul. Rakowieckiej.

się jechało, tylko na wieś, tam były pola uprawne, sady, bardzo bogate ziemie sadownicze

– mówi jedna z pierwszych mieszkanek Ursynowa, która dziś przeprowadziła się do jednej z modnych podwarszawskich miejscowości. Mówi, że tęskni za zażyłością osiedla z końca lat 70. Dziś ma więcej miejsca, spokoju, anonimowości, ale też dokucza jej samotność.

Jadę do miasta – to sformułowanie przez wiele lat towarzyszyło mieszkańcom Ursynowa, których los rzucił na peryferia. Na Ursynów na początku jego istnienia nie było łatwo dojechać. Z centrum kursował autobus do Dworca Południowego (dzisiejsza pętla Wilanowska). Tam trzeba było się przesiąść do linii 192. Autobusy po Ursynowie jeździły zygzakiem, pokonując płataninę ulic, w której ciężko było znaleźć wzór. Wszystko przez opóźnienia w budowie alei Komisji Edukacji Narodowej, która miała być kręgosłupem nowej przestrzeni.

Zanim jednak na Ursynów wjechały pierwsze koparki i ciężki sprzęt, ciągnące się hektarami kartoflane pola przypominały o wiejskim charakterze tego miejsca. Dawniej na terenie dzisiejszej dzielnicy istniała wieś Rozkosz. To pamiątka miesiąca miodowego Stanisława Kostki Potockiego i Aleksandry z Lubomirskich. Na początku XIX wieku właścicielem Rozkoszy został Julian Ursyn Niemcewicz, pisarz i polityk okresu Sejmu Czteroletniego. Niemcewicz był też adiutantem Tadeusza Kościuszki w czasie powstania kościuszkowskiego, wraz z nim trafił do Stanów Zjednoczonych. Na pamiątkę spędzonych tam dni nową posiadłość chciał nazwać Ameryką lub Waszyngtonem. Ze względu na „delikatne” wówczas stosunki z Rosjanami zaniechał tego i skończyło się na Ursynowie. Do swojego dworu, który obecnie należy do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, zapraszał znakomitych gości.

Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza, żadnego

jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność

– wspominał młody Juliusz Słowacki, jeden z bywalców majątków Niemcewicza.

W 1934 roku skrajem Ursynowa przeciągnięto linię kolejową Warszawa – Radom, a tuż obok zbudowano międzynarodowe lotnisko Okęcie, obecnie nazywane Lotniskiem Chopina. Cztery lata później do Warszawy włączono wsie Służew i Służewiec. Na Służewcu w 1939 roku otwarto najnowocześniejszy tor wyścigów konnych w Europie. Sam Ursynów częścią Warszawy stał się dopiero w 1951 roku.

Dlaczego więc projektanci zdecydowali się zbudować osiedle na „końcu świata”? Bo nawet tam w kilkanaście minut dowiozłoby mieszkańców metro. To ono było podstawowym warunkiem powodzenia inwestycji. Wykonawcy spóźnili się jednak 20 lat. Osiedle mimo to powstało. Zamierzeniem grupy planistów było stworzenie samowystarczalnego miejsca, które mogłoby funkcjonować w oderwaniu od centrum Warszawy. Miało być przyjazne – bogate w szkoły, szpitale, poczty, sklepy i placówki ułatwiające mieszkańcom codzienne życie: osiedlowe przedszkola, kluby mieszkańca, pralnie. Ale dla nowych lokatorów najważniejsze było, że w końcu przyjechali „na swoje”.

Kolejki po normalne życie

Bez własnego mieszkania młode małżeństwa gnieździły się na wspólnej, małej powierzchni z rodzicami. Nie było dzisiejszego zwyczaju długiego mieszkania ze znajomymi. Pierwsi mieszkańcy Ursynowa mówią dziś, że prawdziwe życie rozpoczęło się dla nich dopiero w momencie przeprowadzki. Robili więc wszystko, co w ich mocy, aby skrócić okres starania się o lokum.

Ile czekano w kolejce mieszkaniowej? W 1970 roku członek spółdzielni w Warszawie czekał średnio prawie sześć lat. Członkiem nie zostawało się od razu. Najpierw trzeba było przejść drogę kandydata, co cały proces wydłużało do prawie 12 lat. Głód „dachu nad głową” często sprawiał, że nieistotne stawały się oficjalne zasady panujące w polityce mieszkaniowej. Na różne sposoby dało się skrócić czas oczekiwania. Krzysztof Herbst, jeden z socjologów, którzy pracowali przy powstawaniu osiedla, mówi, że tylko 30% mieszkań było rozdanych z kolejki mieszkaniowej. Pozostałe były przydzielane „z tytułu różnych preferencji”.

W przepisach były takie kryteria, że osoby szczególnie ważne dla miasta i dla gospodarki otrzymywały mieszkania poza kolejnością. I można było wysterować swoim życiem tak, żeby je dostać. Najbrutalniejszy przykład – można było się zatrudnić w wojsku albo w MSW, no i to było bardzo ostre przyspieszenie. Można się było stać fachowcem i wyminąć tę kolejkę. Można było zostać twórcą i Ministerstwo Kultury coś tam ze swojej puli mogło przydzielić też człowiekowi

– opowiada socjolog.

Artystom pomagał minister kultury Józef Tejcma, który stanowisko to zajmował w latach 1974–1978 i 1980–1982.

On był dość rozsądny facet i rozumiał pewne potrzeby świata kultury. On np. zgodził się na sprowadzenie najwybitniejszych muzyków z całej Polski do Filharmonii Narodowej. On zapewniał, że chciał sprowadzić z Polski [...] najwybitniejszych ludzi z kultury, którzy chcieliby ewentualnie w Warszawie mieszkać. [Jeśli] mieli jakieś możliwości utrzymania się, [to on] starał się żeby ich ściągnąć i zapewnić im byt

- opowiada kompozytor, jeden z mieszkańców Ursynowa.

Jakie duże te mieszkania...

Oprowadzająca mnie po swoich 76 m² mieszkanka bloku przy ul. Wiolinowej 2 opowiada tak:

Byliśmy zadowoleni, bo to po prostu trochę odbiegało od tego, co ludzie dostawali. Ze ślepymi kuchniami, małe metraże, tu był duży metraż. Otworzę panu balkon, zobaczy pan, loggia duża

- mówi, pokazując widok z okna.

Mieszkania na Ursynowie były większe niż przeciętne lokum („cela dla super-skazańca”) w innych częściach Warszawy.

To były [...] pierwsze mieszkania o tak dużym metrażu [...] kiedy na Stegnach czy gdzieś wcześniej, czy nie mówiąc już o tzw. Żelaznej Bramie, czy nie mówiąc o tych wieżowcach przy Marszałkowskiej, tzw. Wschodnia Ściana, kiedy trzypokojowe mieszkanie miało 48 metrów kwadratowych, w każdym pokoiku było tak, że trudno tam było jakąś wersalkę czy coś zmieścić, jakąś małą szafeczkę i już

trudno było wejść. Malutkie były pokoiki [...] Takie klitki, jakby jakieś cele więzienne dla super-skazańców. Tak że jak my się tutaj sprowadziliśmy, ten pokój ma 21 metrów kwadratowych, to jest sporo. Drugi ma 12 metrów, a trzeci ma 10 metrów. Jeszcze hoł, który ma 8 metrów kwadratowych

– opowiada o swoim mieszkaniu jeden z lokatorów bloku przy ul. Wiołkowej 2.

Projektant pomyślał o dobrym rozkładzie pokoi. Mieszkanie zostało zaplanowane tak, by kuchnia rozdzielala pomieszczenia i izolowała je od siebie.

To bardzo wygodne, że nie ma żadnego pokoju przez ścianę. No i standard był taki, że ubikacja była gdzieś indziej i łazienka osobno, no to w tamtych czasach to był po prostu superluksus, to było szokujące wręcz, jak niektórzy przychodzili do nas, że tak duże mieszkanie i taki olbrzymi standard

– mówi mieszkaniec, który na Ursynów wprowadził się pod koniec lat 70.

Mieszkania na Ursynowie były duże nawet jak na dzisiejsze standardy. Miały od 70 do 100 m².

... a jakie puste

Poza lenteksową podłogą, wanną, umywalką, muszlą klozetową oraz kuchenką mieszkanie było puste. Na ścianach wisały jeszcze tapety, na ogół pozbywano się ich od razu po wprowadzeniu. Były po prostu brzydkie.

W tym pokoju były takie tapety, że jak weszliśmy, to na drugi dzień

zabraliśmy, ponieważ to wyglądało jak w wiejskich chałupach, takim wateczkiem malowane, takie pazurki

– opowiada jedna z mieszkanek, której mąż był wziętym plastykiem i od razu zabrał się za aranżację wnętrza.

Po kilku godzinach udawało się zdrapać tapetę. Udawało się nawet położyć nową. Ale, uwaga, byle nie ze wzorkiem.

Tu nie ma żadnej ściany prostej. Po prostu wszystkie są krzywe. Naprawdę. To widać, kiedy jest tapeta ze wzorem, bo ten wzór nachodzi na siebie

– załamuje ręce pewna dziennikarka.

W Warszawie istniało kilka miejsc, w których można było kupić wyposażenie mieszkania. Najbardziej popularnym od początku lat 70. była tzw. Emilka, czyli sklep meblowy Emilia przy ul. Emilii Plater. Emilka stała się symbolem tamtych czasów. Sprzedawane tam meble były bardzo do siebie podobne, a czas oczekiwania na nie koszmarnie długi. Warszawiacy, którzy chcieli nabyć łóżka, komplety wypoczynkowe, stoły, sofy, kredensy czy regały, stali w kolejkach społecznych. Oczekiwanie nie zawsze oznaczało, że np. kanapa, którą klient sobie upatrzył, będzie dostępna w momencie, gdy przyjdzie jego kolej. Na ogół więc konsumenci nie mieli wyboru i kupowali to, co aktualnie było w magazynie.

Planowanie zakupu mebli warszawiacy zaczęli często już na kilka miesięcy przed wprowadzeniem się. Najgorzej miały małżeństwa bez stałego meldunku, mieszkające w kawalerkach. Na małej przestrzeni trzeba było żyć i zmieścić nowo nabyte meble, systematycznie kupowane z myślą o przeprowadzce. Jak na 15 m² zmieścić komplet do kilka razy większego mieszkania? Jeden z mieszkańców opowiada, że tę sztukę opanował prawie do perfekcji i bez zbędnych luk jego pokój był zapchany pod sufit nowymi sprzętami.

Czy dało się wymyślić coś oryginalnego, żeby wszystkie mieszkania nie wyglądały tak samo?

Jak na tamte czasy meble bardzo ekstrawaganckie, to takie w stylu westernowym. Import był z Węgier czy skądś tam, natomiast jeśli chodzi o meble tapicerskie, to się stało na Przeskok² po nocach, dwie noce tam trzeba było chyba dyżurować z samochodem i termosami. Była zima pamiętam, było to kłopotliwe, ale się dostało meble, z Jugosławii tym razem. Bo w Polsce były bardzo siermiężne meble

– mówi jedna z lokatorek.

Po latach te dyżury wspomina z mieszaniną złości i nostalgii. Na czekanie było się skazanym. Czekano w kolejkach po meble, sprzęt AGD, po mięso, choinki. Stało się, kiedy z nieba lał się żar i kiedy brał siarczysty mróz. Żeby nie zanudzić się na śmierć, rozpoczynano rozmowy, nawiązywano znajomości.

Stojąc po papierosy, w kilka godzin poznawałem więcej osób niż teraz przez rok

– mówił mi pewien taksówkarz, który z meblami nie miał problemu, bo do nowego mieszkania zabrał część wyposażenia z rodzinnego domu.

A co jeśli wymarzonych mebli nie było w Warszawie? Dziś zamówilibyśmy je w sklepie internetowym i umówili się z kurierem na odbiór pod drzwiami. W PRL wyprawę po wymarzoną szafę trzeba było drobiazgowo zaplanować. A człowiek wszystkiego nie przewidzi.

Meble to się, proszę pana, różnie zdobywało, ja np. pojechałem do Zamościa

– rozpoczyna swoją historię mój rozmówca, który wówczas był cywilnym

2 Przy ul. Przeskok w Warszawie znajdował się popularny pawilon z meblami.

pracownikiem w wojsku. Dowiedział się, że zakład produkujący interesujące go meble znajduje się pod Zamościem, w Zwierzyńcu. Pojechał pociągiem i zabrał ze sobą kilka bombonierek. Na miejsce ze stacji kolejowej dostał się okazją, bo akurat jeden z pracowników centrali zakładu w Zamościu jechał do warsztatu w Zwierzyńcu. Na miejscu okazało się, że cena mebli jest inna niż ta, o której słyszał. Niedawno uległa zmianie. Nie miał przy sobie tylu pieniędzy, by zapłacić według nowego cennika. Kierownik zmiany był na tyle miły, że zadzwonił do centrali. Okazało się, że nowa cena nie jest jeszcze obligatoryjna. Co jednak zrobić z zestawem mebli w Zwierzyńcu? Akurat jeden z pracowników jechał z powrotem do Zamościa. Dalej trzeba było jeszcze nadać meble pociągiem. Część wziął ze sobą, część przyjechała następnego dnia do Warszawy. Za wszystkie przysługi płacił bombonierkami.

Żadnego sklepu. Nic po prostu

Projektanci wymarzyli sobie samowystarczalne osiedle, które będzie szybko rozwijało swoją infrastrukturę. Wkrótce po osiedleniu mieszkańcy mieli mieć wszystko, co potrzebne do życia. Plan powstał jeszcze w czasach pełnego nadziei rozwoju gospodarczego. Wykonanie planu nastąpiło, gdy nad Polskę nadszedł kryzys i wszystkiego brakowało. Mieszkańcy Ursynowa zostali więc rzućeni na pustyń, gdzie musieli sobie radzić sami.

Był ten blok, potem były pustki, znaczy się budowały... Było to straszliwe. Na Puszczyka były dwa bloki. Żadnego sklepu. Nic po prostu

– wspomina mieszkanka bloku przy Wiolinowej 2.

Przez pierwsze lata mieszkańcy osiedla zaopatrywali się w produkty spożywcze i chemiczne głównie w centrum. Większość z nich pracowała w dzielnicach „w mieście”, bo na Ursynowie nie było jeszcze gdzie się zatrudnić. Po pracy stali w kolejkach za towarami, wieczorem wracali na osiedle. Ci, którzy jednak zdecydowali się kupować na Ursynowie w nielicznych sklepikach, często godzili się na to, że biorą, co jest. Przez pierwsze lata zakupy przypominały partyzantkę.

To było właściwie miasto bez miasta, bez niczego. Sklepów nie było. Postawili takie kontenery z jakimiś produktami

– mówi kompozytor.

Problemy z zaopatrzeniem w podstawowe produkty wywoływały konieczność współpracy. Nie zawsze to się jednak udawało. Deficyt towarów doprowadził do tego, że ludzie stojący w kolejkach kłócili się o kilkadziesiąt gramów żółtego sera, masło czy mleko. Ciężko było oddać „łup” nawet bliskiej osobie.

Nie umiem panu powiedzieć, jakie to było okropne i jak to odczuwaczały warunki człowieka. Przecież ja byłam osobą, która się umiała dzielić, ja nie byłam skąpa, żeśmy żyli tu ze sobą w takiej, w dobrym tego słowa znaczeniu, komunie. I mój pierwszy odruch to był: nie dam – bo przecież zdobyć to, to było mięso... Oczywiście, że później dałam, ale pierwszy odruch... Ja tego nie zapomnę, jak ja wzięłam za siebie, schowałam te parówki. Takie czasy

– opowiada jedna z mieszkank Ursynowa.

Brak sklepu z prawdziwego zdarzenia mieszkańcy odczuwali przez trzy lata. Dopiero pod koniec sierpnia 1980 roku na Ursynowie otwarto Megasam, sklep o powierzchni ponad 3000 m², jak na tamte warunki prawdziwy gigant. Główny projektant Ursynowa Marek Budzyński mówi, że Megasam powstał w zasadzie przez przypadek. Miał stanąć w innym

mieście, jednak ktoś „na górze” zdecydował inaczej.

Nagle, ni z tego, ni z owego ja dostałem wiadomość, jest możliwość postawienia dużej hali handlowej, to było chyba trzy tysiące metrów kwadratowych, jak na owe czasy, to był gigantyczny zupełnie sklep, naprawdę ogromny i to już już za dwa dni ma być pokazane, gdzie on ma stać i co robić. No i ja miałem wtedy cholerny dylemat, bo myśmy mieli wszystko wtedy zaplanowane, na zupełnie inną strukturę

– opowiada Budzyński.

Reporter „Ekspresu Wieczornego” relacjonuje, że w dniu otwarcia sklepu ludzie rzucili się na towary, by w ciągu kilku tygodni wykupić te, których na rynku brakowało. Jedna z kasjerek zwróciła mu uwagę na nowy, przeciekający sufit, na którym zaczął robić się grzyb. Megasam dotrwał do czasów współczesnych, obecnie nadal jest sklepem i punktem orientacyjnym na mapie dzielnicy.

Wody odeszły? Łap stopa

Osiedle nie posiadało swojego szpitala. Mieszkańcy byli przydzieleni do kilku placówek. Przychodnia znajdowała się przy ul. Jadźwingów (odległość ok. 4,5 km). Szpital rodzinny mieścił się przy ul. Inflanckiej (odległość ok. 13 km), ale korzystano też ze szpitali przy ul. Malczewskiego (7 km), Madalińskiego (7 km) i Ludnej (10 km). Pogotowie dojeżdżało szybko, bo w kilkanaście minut. Problem stanowiło jednak jego wezwanie. Jak więc mieszkańcy radzili sobie w nagłych przypadkach? Mało kto na osiedlu miał telefon. Kilkaset metrów od Wiolinowej 2

wisiał na klatce schodowej publiczny automat. Wiecznie ciągnęły się do niego kolejki. Stamtąd można było zadzwonić po pogotowie albo zamówić taksówkę do szpitala. Gdy telefon był zepsuty, proszono o pomoc sąsiada, który miał samochód. Można było mieć jednak pecha – tak jak jeden z moich rozmówców. Gdy jego żona zaczęła rodzić, nie mieli telefonu, sąsiadów z telefonem nie było w domu, telefon publiczny był zepsuty, a sąsiada z samochodem też nie było.

No i zaczęliśmy iść w stronę Puławskiej. Najbliższy szpital był na Madalińskiego. Ale doszliśmy do Puławskiej i zatrzymał się mach, bo zaczęliśmy machać. I zapytaliśmy się, czy mogłaby Pani zawieść przynajmniej do Puławskiej, bo moja małżonka będzie niedługo rodziła. Okazało się, że pani jest lekarzem i zawiozła nas pod sam szpital

– opowiada.

Przymarzając do poduszki

Zima stulecia – przełom 1977 i 1978 roku – dla wielkiej płyty, z której były zbudowane bloki, stanowiła pierwszy poważny sprawdzian wytrzymałości. Zima nadeszła, zastając kompletnie nieprzygotowaną do jej przyjęcia infrastrukturę. Bloki były „gołe” (dopiero po kilku latach przeprowadzone zostały prace ociepleniowe). Przestała działać elektrociepłownia Siekierki i temperatura w mieszkaniach, ogrzewanych na własną rękę przez lokatorów, często wynosiła tylko kilka stopni powyżej zera. Na kilka dni, podczas najcięższych opadów śniegu, Ursynów został odcięty od reszty Warszawy, zasypany. Nie było możliwości poruszania

się samochodem. Sklepy zaopatrywane wtedy były przez wojskowe amfibie i paradoksalnie był to moment, w którym w końcu na osiedlu niczego nie brakowało. Tak ten czas wspomina jeden z rozmówców:

Mieliśmy niezapomnianego sylwestra. Który to był rok... 1978, to ta zima stulecia była. Siekierki wysiadły. [...] Przyjechała [żony] siostra, to spędziliśmy sylwestra przy stole w kuchni, odkręciliśmy ten piecyk gazowy, bo kaloryfery nie działały i przy tym piekarniku grzaliśmy kuchnię, a w pozostałych pomieszczeniach, było 13 stopni. I wtedy pamiętam do tego sklepu chleb przywozili amfibią. Nigdzie nie można było dojechać, było tyle tego śniegu

– śmieje się jeden z mieszkańców.

Co gorsza, nie wszystkie mieszkania były wykończone, wielu lokatorom nie udało się jeszcze załatać dziur w ścianach i szpar przy framugach okien, w które mieszkanie było na ogół „wyposażone”. Najgorzej mieli ci lokatorzy, którzy mieszkali w pionie, gdzie jedna ze ścian była ścianą szczytową:

Jak ja wkładałam rękę do szafki, to ściana była mokra, bo się skraplało, bo ściany przymarzały. A potem było mi zimno w głowę, bo coś wiało. Dopiero po latach ocieplili ścianę szczytową, a później ocieplili cały dom grubszą warstwą. I teraz w końcu jest ciepło. Ale na początku te ściany przemarzały. Dogadaliśmy się tu kiedyś z kim, żeby nam dołożyli kaloryfery, bo ich było za mało. W jednym z pokoi tam to po prostu nie wysychało. I tam przedłużyliśmy ten kaloryfer, bo nie ogrzewało. Żle zaprojektowali...

– zaczyna historię o usterekach jedna z lokatorek.

Panie Anioł, ratunku

Polacy poznali Ursynów dzięki serialowi Stanisława Barei „Alternatywy 4”, w którym niezapomnianą rolę gospodarza domu, Stanisława Anioła, zagrał Roman Wilhelmi. Osiedle zostało tam przedstawione jako budowane bardzo szybko i niedokładnie. Sypiące się ściany, wypadające szyby, przeciekające rury albo baraki i jeden wielki plac budowy. Z opowieści mieszkańców wynika, że rzeczywiście usterki i absurdalne sytuacje były na porządku dziennym. Choćby ta wspomniana wcześniej – osiedle przygotowujące się na przybycie Alojzego Karkoszki, robotnicy siejący trawę i malujący krawężniki.

Co zastawali na miejscu nowi lokatorzy? Połowa elektrycznych gniazdek nie była czynna, a część drutów z instalacji leżała na zewnątrz. Aby przystosować mieszkanie do zasiedlenia, lokatorzy musieli wyłożyć dodatkowe pieniądze. Najczęściej usterki naprawiali ludzie, którzy wcześniej budowali osiedle. Osobną historią były kuchenki.

Standardem było to, że kuchenka gazowa była tak ustawiona, że nie można było wstawić szafki, i natychmiast panowie przychodzili i przesuwali za jakieś pieniądze. Ale to chyba było wkalkulowane w egzystencję... Jak w „Alternatywy 4”

– mówi jedno z ursynowskich małżeństw.

Jedna z moich rozmówczyń opowiedziała historię słabo świecącej żarówki w toalecie. Pewnego razu lokatorka zauważyła, że z każdym dniem w pomieszczeniu jest coraz ciemniej, a przecież żarówka powinna albo świecić, albo się przepalić. Kiedy ściągnęła klosz, wylała się na nią woda. Okazało się, że kanalizacja była nieszczelna i woda sączyła się do klosza.

Niektóre usterki utrudniały życie w o wiele większym stopniu.

Przykładem mogą być okna, do których uszczelnienia potrzeba było kilku metrów waty. Inaczej każda zima byłaby walką o przetrwanie. Część okien miała spalone szyby – podczas spawania robotnicy nie uważali, a później nie wymienili wadliwych szyb. Zresztą nie to było najgorsze – źle osadzone okna przy wichurach czasami wypadały z framug i lądowały na chodniku. Z niedopatrzenia robotników jednej z moich rozmówczyń ciepła woda w łazience popłynęła plastikowymi rurami.

Istnieje teoria, według której grupa odpowiedzialna za konserwację umyślnie sabotowała osiedle. Robili to na ogół w soboty albo dzień przed długimi świętami. Dzięki temu wzywani byli do pilnych awarii w dniu, w którym płacono im podwójną stawkę.

A to najczęściej było tak że... Wielki Piątek, najczęściej wody nie było, albo najczęściej w Wigilię. Wody rano zabrakło. Zawsze w jakichś takich konkretnych.... Albo w sylwestra. Coś się działo. Albo... gazu to nie zabrakło nigdy. Ale ogrzewanie i woda, albo winda nie działała. Przed świętami, kiedy każdy sobie z bagażami, winda przestaje działać. Były takie momenty. Przez parę lat zawsze ze strachem czekaliśmy na te święta, co się tutaj nagle zepsuje

– żali się mieszkańiec bloków przy Wiolinowej.



Budowa osiedla. Robotnicy układają krawężnik. Widoczny spychacz gąsienicowy i stojące obok butelki wina. W tle gotowe bloki mieszkalne, do których łąda chwilą wprowadzą się pierwsi lokatorzy.
Autorka: Grażyna Rutowska / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Panie, tu nie Skandynawia

Głównym projektantem Ursynowa był wspomniany Marek Budzyński. Koledzy ściągnęli go z Danii, gdzie wykładał na Uniwersytecie w Arhus. Budzyński przyjechał z głową skandynawskich pomysłów, które miały ułatwić mieszkańcom życie. Do końca się nie zrozumieli.

Z rzeczy takich społecznie trudnych to było to, że w tych domach były zorganizowane takie tzw. kluby mieszkańców, było 35 klubów w całym zespole Ursynów Północny, w których mieściło się małe przedszkole, bar, pralnia i tam takie, to taki import pewnych funkcji, które Skandynawowie bardzo lubią mieć przy swoich domach. No i tutaj [...] rzecz, która mnie bardzo zdumiała, nie przyjęły się pralnie. Pralnie te osiedlowe były wyposażone w świetny sprzęt jak na owe czasy, naprawdę rewelacyjny. Automatyczne, wszystko tam, suszarki, wszystko było. Teraz to się wydaje. A wtedy jedynym wyposażeniem w domu, jeśli nie prało się ręcznie, była jeszcze ta "Frania" słynna, pralka, która prała, już nie płukała, więc wydawać by się mogło, że przy braku czegokolwiek taki klub powinien fantastycznie zakwitnąć, prawda, nie udało się

– żali się Budzyński.

Architekt zwraca również uwagę na niechęć mieszkańców do aranżowania przestrzeni. Bloki na Ursynowie mają często schodkową budowę. Budzyński celowo urozmaicił tak dachy, by lokatorzy skrajnych mieszkań mogli wybijać ściany i rozbudowywać swoje metraże. Nic z tego nie wyszło. Kolejnym pomysłem były rozwijanie mieszkań na parterach – stawianie altanek w małych przybalkonowych ogródkach. Tutaj sukces był połowiczny – altanek wprawdzie nie ma, ale ogródki stały się znakiem rozpoznawczym dzielnicy.

Rehabilitacja ulicy

Piesza ulica, bezpieczna i odizolowana od ruchu kołowego, miała być kręgosłupem osiedla. Projektanci uważali, że człowiek nie jest wiecznym turystą, nie patrzy do góry, patrzy na parter. Ważne jest to, co przy ulicy, na wysokości człowieka. Dlatego kluczową funkcję dla tej idei miały pełnić rodziny mieszkające na parterze – wg danych projektantów ok. 15% rodzin. Kilkumetrowe ogródki pod ich oknami miały sprawić, że w tych mikroskopijnych obszarach powstaną trawniki, altanki, skalniaki, rabatki pełne kwiatów i winorośli; byle nie asfalt.

Jak dzisiaj patrzę na zabudowę miasteczka Wilanów, a Ursynowa, abstrahując od surowca, tworzywa, wielkiej płyty itd., to Ursynów jest enklawą, cudowną. Tam jest to wszystko zróżnicowane poziomami. Ja mieszkalam na parterze i miałam ogródek przydomowy. I wszyscy mieliśmy możliwość tych ogródków. To był taki kawałek naszego raju na tej ziemi. Te 100 metrów kwadratowych tego ogródka, to człowiek próbował tam cuda wyczarować. Miałam tam np. morelę, która rodziła do 300 kilogramów owoców. Przyjeżdżała rodzina z wanienkami, dużymi miskami, zabierała. Sąsiadom, obdarowywałam, szłam z góry na dół i po misce takiej dużej. Chcecie to przetwory, chcecie to jedzcie

– opowiada jedna z pierwszych lokatorów.

Odwiedzanie się, dzielenie przetworami, wspólne kolędowanie czy organizowanie razem imienin było czymś normalnym dla mieszkańców Ursynowa. Mimo że mieszkali w blokach, znali się nawzajem, co dziś jest prawie niespotykane. Sam od kilku lat mieszkam w kilkupiętrowym budynku na Pradze i znam tylko sąsiadkę z góry. Nie poznałbym jej, gdyby nie mieszkała z siedmioma psami, które od szóstej rano zaczynają szczekać, a godzinę później biegają pod moim oknem.

Bardzo poważna i piękna sprawa

Proszę pana, nas łączyła sprawa bardzo też poważna i też piękna do opowieści

– rozpoczyna historię jedna z mieszkanek...

Pewnej nocy w 1980 roku mieszkańców bloku przy ul. Wiolinowej 2 obudził hałas. Gdy wyrzeli przez okno, zobaczyli kilkanaście metrów dalej wielkie koparki i spychacze, tłumy robotników i snopy światła bijące z reflektorów wprost w okna. W nocy, niby po cichu, rozpoczęła się pod ich blokiem budowa. Kiedy rano wyszli, by porozmawiać z robotnikami i zapytać ich, co budują, ci milczeli. W końcu dowiedzieli się, że pod ich blokiem powstaje wielkie targowisko, które będzie zaopatrywało Ursynów w warzywa. Jeden z rozmówców opowiadał, że słyszał o planach zakładających wybudowanie szaleńców i szaszłykarni pięć metrów od jego okna.

Nie chcecie wygody? – pyta mnie architekt. Jaka wygoda – mówię. Jak się idzie po zakupy na Megasam, to się wszystko przytarga. A tu jak przyjadą o czwartej rano samochody dostawcze z kartoflami, z kapustą, z innymi. Później, mówię, jak taki bazar, to będą budy. A nie, to będzie elegancko – mówi. Jak na każdym bazarze! – odpowiadam. Zaraz będą śmieci. Nie chcemy tego tutaj! A co chcecie? Park, chcemy, żeby tu był

– opowiada po latach z wciąż widocznym zdenerwowaniem.

Kluczowym momentem tej historii jest wizyta I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Alojzego Karkoszki. Działacz partyjny przyjechał na Ursynów, by zwizytować szkołę. Mieszkańcy dowiedzieli się o tym na krótko przed jego przybyciem od jednej z urzędniczek pracujących

w spółdzielni, która za wyjawienie tej informacji straciła pracę. To, że wkrótce stanie się coś niezwykłego i ważnego, zwiastowało również pojawienie się robotników.

Od popołudnia do całego naszego terenu przyjechała ekipa, chyba z 50 ludzi i zaczęła grabić tu trawniki, sprzątać, malować na biało krawężniki, ziemię kopać, wyrównywać, inni wzięli trawę i siali od razu

– opowiada jeden z mieszkańców.

Karkoszka na Ursynowie pojawił się w towarzystwie ówczesnego prezydenta Warszawy Jerzego Majewskiego. Otaczała ich grupa milicjantów, która pilnowała bezpieczeństwa.

I tutaj musimy się wszyscy zebrać, jego pod ten blok zaprowadzić i walczyć. No więc wszystkie staruszki, łamagi, kto tylko żył. No tłumek się niezły zebrał [...]. Nasi mężowie chyba też byli, mieli te plany w ręku, ci którzy akurat mogli. Zeszliśmy na dół. Mnie wypchnęli z wózkiem na czoło tego pochodu, tak mi otwarty wózek, bo córeczka ładna, w koszulce, w kapelusiku. Ja z tym wózkiem, za mną te staruszki. Ktoś urwał, rosły tu słoneczniki, chyba z pięć słoneczników, dali mnie w garść

– mówi lokatorka.

Do „delegacji” zostały więc wybrane staruszki, kobiety i dzieci. Miało to pomóc w przebiciu się przez grupę ochraniających urzędników milicjantów. I rzeczywiście się udało. Karkoszka zauważył dobijające się do niego kobiety, odepchnął ochroniarzy i zaczął rozmawiać. Opowieść o tym spotkaniu przypomina trochę wizytację feudalnego władcy na dalekich rubieżach swoich ziem. Takie spotkanie zdarzało się rzadko, a władca, chcąc zapewnić sobie życzliwość mieszkańców odległego

miejsca, rozmawiał z nimi. Kiedy Karkoszka usłyszał o problemie mieszkańców, obiecał, że targowiska tutaj nie będzie. I dotrzymał słowa.

Moi rozmówcy podają to jako przykład stosunków z władzą w tamtych czasach. Władza była bliżej zwykłego człowieka. Nie była anonimowa i można było z nią porozmawiać. Karkoszce lud wręczył słoneczniki, poprosił o opiekę, zaprosił na szarlotkę.

Ale ludzie zwyciężyli. W miejscu, gdzie miało być targowisko, stanął kościół. Pierwszy na nowym Ursynowie.



Dzieci bawiące się na ursynowskim chodniku. Ze względu na wyraźne oddzielenie dużych ulic od miejsc ruchu pieszego Ursynów był przyjazny dla gier i zabaw najmłodszych mieszkańców. Rodzice nie bali się ich wypuszczać bez opieki na zewnątrz, a one całymi dniami buszowały po płataninach bloków.

Autorka: Grażyna Rutowska / Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ursynów to więcej niż sypialnia

Ursynowowi zrobiono krzywdę w sferze społecznego odbioru. Powstała taka zbitka myślowa: Ursynów – blokowisko – sypialnia. Ironia losu, bo Ursynów ze wszystkich osiedli sypialni jest najbardziej ludzki

– mówi Jan Dziubecki, były zastępca burmistrza dzielnicy.

Z okazji 30-lecia dzielnicy odbyła się debata, w której udział wzięli ludzie związani z początkami osiedla. Mimo wielu niedociągnięć w ostatecznym kształcie Ursynowa, który w wielu punktach rozminął się z wizją planistów, nie można odmówić dzielnicy wyjątkowego, właściwego tylko dla niej, charakteru.

Dla mnie Ursynów Północny, gdzie mieszkam, jest naprawdę niesamowitym miejscem. Oczywiście można krytykować sposób wyznaczenia ulic czy koncepcję zwrócenia osiedla do wewnętrznych ciągów pieszych, ale trzeba też pamiętać, że było to osiedle dla wyżu demograficznego. Było tam mnóstwo małych dzieci. Pamiętam, że kiedyś egzekwowano zakaz wjazdu na wewnętrzne uliczki i te dzieciaki naprawdę mogły jeździć na rowerkach, naprawdę mogły się bawić. Do tej pory, kiedy przyjeżdżają do mnie ludzie z tak zwanego „miasta”, jest gdzie pójść na spacer. Cały obszar Ursynowa Północnego można obejść ciągami pieszymi. Oczywiście po drodze trzeba omijać nowe, zamknięte osiedla. Niektóre z tych ciągów pieszo-jezdnych niestety już teraz zaczęły być jezdne. Ursynów Północny trochę przypomina mi klimatem stary Muranów, który też jest zielony, a domy są niewielkie i tworzą intymne zakątki

– mówiła podczas debaty z okazji trzydziestych urodzin osiedla Marta Bieniasz, psycholog, która w okresie powstawania Ursynowa

odpowiedzialna była za koncepcję pracy środowiskowej w oparciu o Kluby Mieszkańca.

Ursynów jest innym osiedlem. W niczym nie przypomina budowanych w całej Polsce, ciągnących się hektarami blokowisk, gdzie wydarzeniem jest postawienie piaskownicy. Nie ma też związku z nową falą osiedli fortec, izolujących się od miasta za kamiennymi murami i szlabanami, przy których stoi strażnik. Ursynów to płatanina zielonych uliczek, sprytnie pomyślanych bloków, gdzie życie często polegało na improvizowaniu przy spotkaniach z kolejnymi problemami. Z dnia na dzień do tej przestrzeni przybyło kilkadziesiąt tysięcy osób, które musiały bardzo szybko nadać jej ramy domu.

Plany wybudowania osiedla, które byłoby pełnoprawną dzielnicą Warszawy i odpowiadało na głód mieszkaniowy w powojennej Polsce, były bardzo śmiałe. Początek lat 70. był bardzo optymistyczny. Odwilż i wiele projektów architektonicznych w całym kraju dawały nadzieje, że Ursynów może być sztandarowym osiedlem nowoczesnej Polski. Od momentu rozpisania konkursu na budowę do momentu wprowadzenia się pierwszego lokatora minęło kilka lat i sytuacja gospodarcza w kraju uległa zmianie. Jakościowo wykorzystano często gorsze i tańsze materiały, a do tego formy zarządzania pracownikami spowodowały, że nowe osiedle wymagało wielu poprawek. Sposób rozdzielania mieszkań w tamtych czasach był na tyle skomplikowany i nieefektywny, że projektanci musieli zaplanować dzielnicę dla anonimowego mieszkańca. Mimo wielu braków, związanych zwłaszcza z infrastrukturą, udało im się stworzyć autonomiczne miejsce w Warszawie, które różniło się od innych zarówno funkcjonalnością, jak i układem przestrzennym. Takim zapamiętali je mieszkańcy, którzy po latach wiele rzeczy pewnie mitologizują, ale to nagromadzenie różnych historii wiele mówi o sile oddziaływania tego miejsca.

Dominik Szczepański (1988) – skończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim i zмага się z pracą licencjacką na etnologii. Od kilku lat dziennikarz Sport.pl. Tęskni za grungem, Jerzym Kukuczka i dzieciństwem w Bieszczadach.

Literatura

Andrzejewski, A.

1987 *Polityka mieszkaniowa*, Warszawa

„Architektura”

1975 (1–6), 2005

Jarosz, D.

2010 *Mieszkanie się należy... Studium peerelowskich praktyk społecznych*, Warszawa

Społeczne tworzenie przestrzeni Powiśla

Monika Sznel

Zmagania etnograficzne, które w antropologicznym żargonie nazywa się „wyjazdem w teren”, związane są z tymczasowym opuszczeniem własnego miejsca zamieszkania, zawieszeniem sądów kulturowych właściwych rzeczywistości, w której funkcjonuje na co dzień etnograf. Wydawałoby się, że prowadzenie etnograficznych obserwacji, uczestniczenie w tym nietypowym kontakcie z ludźmi, kiedy prosimy ich o rozebranie ich codzienności na części pierwsze, jest niemożliwe w mieście. A jednak, w myśl nurtu antropologii u siebie¹, postanowiłam spróbować. Choć czuję się już jak warszawski tubylec, trzy lata temu, gdy rozpoczynałam

1 Ang. *anthropology at home* – badania prowadzone w kontekście kulturowym, z którego pochodzi badacz.

etnograficzne spotkanie z mieszkańcami Powiśla, byliśmy dla siebie obcy, czyli ciekawi. Do Warszawy przyjechałam na studia z mniejszego, rodzinnego miasta: można rzec, że właśnie wtedy „wyruszyłam w teren”: pokonałam przestrzenny i kulturowy dystans.

W niniejszym tekście pokażę, z jak wieloma alternatywnymi, kompatybilnymi bądź zupełnie obojętnymi na siebie nawzajem przestrzeniami mamy do czynienia na Powiślu – jednej z najstarszych dzielnic Warszawy, która od początków swego funkcjonowania stanowiła teren negocjacji różnych grup i aktorów społecznych.

*

Z rozbawieniem wspominam czas, gdy rozpoczynając studia w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Warszawskim, chciałam badać „charakter dzielnicy”, w której zamieszkałam po przeprowadzce do Warszawy. Charakter – jakby był jednym, postrzegalnym i możliwym do zbadania całościowym faktem społecznym². Byłam przekonana, że używając klasycznych metod etnograficznych³, będę w stanie w sposób spójny opisać wizerunek wyodrębnionego granicami administracyjnymi fragmentu przestrzeni, stworzyć monografię terenową. Dzięki osobistemu doświadczaniu dzielnicy (jako studentka, mieszkanka, turystka i etnografka) i poznawaniu jej mieszkańców, sympatyków, bywalców⁴, odkryłam, jak mylne były początkowe założenia młodej adeptki antropologii. Nie ma jednego Powiśla jako takiego; są

2 Fakt społeczny – termin autorstwa Emile’a Durkheima określający schematy działania, sposoby myślenia odbierane jako obiektywne przez członków grup społecznych.

3 Do klasycznych etnograficznych narzędzi badawczych należą wywiad etnograficzny (nie jest tożsamy z wywiadem dziennikarskim) i obserwacja uczestnicząca (uczestnicząc – obserwujemy, obserwując – uczestniczymy).

4 W artykule nie używam prawdziwych imion moich rozmówców.

tylko rozmaite i konkurencyjne Powiśla, a każde z nich konstytuuje różnorodność procesów społeczno-kulturowych, od których takie Powiśla nie dają się zasadnie oddzielić.

Dla niektórych czytelników, przede wszystkim tych, którzy nie mieli wcześniej styczności z pisarstwem etnograficznym, zaskakujący może być język, za pomocą którego konstruuje opowieść. Niniejszy tekst to próba etnograficznego opisu, w którym wykorzystuję nieredagowane wypowiedzi moich rozmówców, fragmenty wspomnień dawnych mieszkańców Powiśla, język zaczerpnięty z narracji współczesnych działaczy organizacji pozarządowych oraz teoretyczne inklinacje i moje wnioski jako badaczki. Zapraszam w teren!

Powiśle z lotu ptaka – przybywa antropolog

Patrząc na Powiśle jako część większej całości – np. wycinek planu miasta – dostrzeżemy przede wszystkim usytuowaną poniżej Skarpy Wiślanej, na tarasie zalewowym Wisły, ciągnącą się w kierunku północ-południe zieloną dzielnicę z kilkoma, rozpoznawanymi przez większość mieszkańców miasta, charakterystycznymi obiektami: Biblioteką Uniwersytecką, Mostem Poniatowskiego, ślimakiem na Karowej, Syrenką Warszawską czy niefunkcjonującą Elektrownią Miejską. Powiśle to z administracyjnego punktu widzenia część dzielnicy Śródmieście, osiedle będące odrębną jednostką, ujęte w Miejski System Informacji⁵.

5 Miejski System Informacji – niebieskie i brązowe tablice informacyjne w Warszawie, z nazwami ulic, osiedli, zabytków i charakterystycznych obiektów.

Taki opis dzielnicy bliski jest pierwszym etnografiom, które traktowały kwestie przestrzenne⁶ raczej pobłażliwie: miejsca stanowiły statyczne tło dla rozgrywającego się „teatru życia codziennego”⁷. Pragnę pośpiesznie uspokoić Czytelnika: rozpoczynająca się właśnie etnograficzna próba opisu dzielnicy będzie wielowymiarowa. Powiśle, jako zróżnicowaną przestrzeń życia społecznego, prześwietlimy na kilka sposobów, uwzględniając ludzkie doświadczanie i tworzenie przestrzeni. Bo choć wydaje nam się, że mówiąc „Powiśle”, mamy na myśli to samo, to „życie miejskie jest fragmentaryczne: żaden z «tubylców» nie będzie w stanie przekazać w swojej narracji «całościowej» wizji miasta, w którym żyje. Co więcej, wiele wskazuje na to, że taka wizja jest niemożliwa do skonstruowania, jako że całość «miejska» to nie tylko suma fragmentów” (Pobłocki 2010, s. 71). Chcę jednocześnie zastrzec, że opisy Powiśla z perspektywy różnych obecnych tam mieszkańców i grup, przecięśnięte przez sito interpretacyjne, nie są wyczerpujące i całościowe⁸.

6 Momentem zwrotnym są lata 70. i 80. XX wieku oraz tzw. *spatial turn* – zwrot ku przestrzeni.

7 Zob. Erving Goffman *Człowiek w teatrze życia codziennego*.

8 Spośród inspiracji teoretycznych muszę w tym miejscu wymienić teorię społecznego tworzenia przestrzeni francuskiego teoretyka Henriego Lefebvra (1991), oddającą dialektyczną relację zachodzącą między człowiekiem a środowiskiem, w którym żyje. Pewne analogie odnajdziemy w konceptualnej triadzie życia społecznego u socjologów wiedzy Bergera i Luckmana (2010). Ciekawym kierunkiem jest ukazanie przestrzeni jako określonej miary pojemności wypełnianej przez ludzkie relacje i praktyki przestrzenne w pracach antropologa Alberto Corsina Jimenez (2003).

Towarzystwo Przyjaciół Warszawy oddział Powiśle – modernizacja jest prawie w porządku

Towarzystwo Przyjaciół Warszawy oddział Powiśle (TPW) to grupa miłośników tej części miasta. Większość z nich to jednocześnie wieloletni mieszkańcy Powiśla, prowadzący w ramach TPW działalność kulturalną, organizujący konkursy dotyczące wiedzy o Warszawie, imprezy upamiętniające ważne wydarzenia historyczne, spacerzy z przewodnikiem po dzielnicy – „Powiślańskie spotkania pod chmurką”, wydający zeszyty *O Powiślu trochę więcej* czy kwartalnik *Na Powiślu*⁹. Dominującą w działalności TPW tematyką jest modernizacja dzielnicy z początku XX wieku, który to proces zechcą teraz przedstawić, by powrócić do wspólnego tworzenia przestrzeni dzielnicy przez członków TPW.

Od początków osadnictwa na tarasach zalewowych Wisły – od ogrodów na Skarpie Warszawskiej, należących do pałaców przy Trakcie Królewskim i jurydyk warszawskich, po współczesną dzielnicę studentów – Powiśle przeszło kilka historycznie i politycznie uwarunkowanych etapów rozwoju. Okres zaborów był tożsamy z zapaścią ekonomiczną kraju. W poszukiwaniu pracy do stolicy ciągnęli chłopi. Niskoopłacane zajęcia znajdowali w warsztatach rzemieślniczych Powiśla. Pamiątką po tym okresie są nazwy ulic: Rybaki, Furmańska, Bednarska, Białoskórnicza. Dzielnicą ma wtedy charakter wiejsko-miejski, peryferyjny. Zamieszkuje ją głównie uboga ludność. Na Powiśle spływają ze Starego Miasta maleńkie strumyki, Warszawa uczyniła niektóre miejsca w tej

9 Kwartalnik dostępny jest na stronie urzędu dzielnicy Śródmieście: <http://www.srodmiescie.warszawa.pl/cms/prt/view/glos-powisla.html> [dostęp: 25.11.2012].

okolicy zsysem śmieci¹⁰.

Rozwój tych terenów związany jest z pędzącą industrializacją wczesnego wielonarodowego kapitalizmu w wieku XIX. Obok drobnego rzemieślnictwa, na Powiślu i Solcu lokowane są liczne fabryki: dzielnica nabiera typowo industrialnego charakteru. Zatrudnieni w fabrykach robotnicy po pracy przesiadują w karczmach i szynkach¹¹. Równoległe z lokalizacją na terenie Warszawy przemysłowej zabudowy, w mieście wyrastają kamienice czynszowe, których lokatorzy to w głównej mierze ściągnięci do nowych zakładów pracy mieszkańcy wsi¹². By ich budowa była możliwa, powstały kamienne bulwary; uregulowano również Wisłę, by przeciwdziałać częstym na Powiślu podtopieniom (zob. Koleżak 1901).

Na początku XX wieku na Powiślu, na poły w wiejskich chatkach, na poły w przeludnionych czynszowych kamienicach, mieszkają rodziny robotnicze. Ze swojej miejsko wiejskiej dzielnicy, traktowanej przez reprezentacyjne Śródmieście jako peryferia, w zasadzie się nie ruszają. Jeśli już, to mówią, że idą „do miasta”, „z dołu”, „pod górę” i ta wędrówka oznacza coś więcej niż pokonanie stromej skarpy. To podróż z nizin społecznych do świata wyższych klas, majątności, dobrobytu, oświeconych ulic. Niektórzy z mieszkańców nie opuszczają Powiśla częściej niż kilka razy w roku (zob. Dobiasz 1981, Grzesiuk 1987, Krzemiński 2001).

Terenem zaczęły interesować się organizacje kulturalne i sportowe. Warszawskie Towarzystwo Cyklistów wybudowało np. na Dynasach (na

10 Widok Powiśla z tamtych czasów „zamroził” na kartach *Lalki* między innymi Bolesław Prus.

11 W 1854 roku na Czerniakowskiej i Solcu było zarejestrowanych 38 karczm i szynków; <http://www.um.warszawa.pl/o-warszawie/kompendium-wiedzy/powisle?page=0,1> [dostęp 1.09.2012].

12 Jednym z czynników masowych migracji ludności wiejskiej (głównie chłopów bezrolnych) do Warszawy było uwłaszczenie chłopów w 1864 r. Por. Drozd-Piasecka M. *Ziemia w społeczności wiejskiej: studium wsi południowo-wschodniego Mazowsza (koniec XIX i XX wiek)* Warszawa 1991.

pozostałościach po pałacu Karola de Nassau, w okolicach ul. Obożnej) swoją siedzibę wraz z przyciągającym mieszkańców Warszawy welo-dromem – drewnianym torem kolarskim. W rotundzie przy tej samej ulicy od 1910 roku funkcjonował Teatr Żydowski, gdzie wcześniej po-dziwiać można było największy polski obraz „Panorama Tatr”¹³. Powiśle stopniowo zyskiwało w oczach inwestorów i przedsiębiorców – rosła wartość powiślańskich terenów.

W latach 20. i 30. XX wieku na Powiśle dociera nowa architektura. Spora część członków TPW, których poznałam na Powiślu, mieszkała bądź wciąż mieszka w reprezentacyjnych domach budowanych w schył-kowym okresie intensywnej industrializacji dzielnicy (domy budowano m.in. przy Alei 3 Maja, ulicach Dobrej, Śniegockiej, Smulikowskiego czy Alei Czerwonego Krzyża). Były to przede wszystkim domy spółdzielcze wznoszone przez sektor urzędniczy i lepiej usytuowanych pracowników zakładów przemysłowych, niektóre z nich wciąż stoją w dzielnicy.

W 1937 roku prezydent Stefan Starzyński¹⁴ ogłosił konkurs „Warsza-wa w kwiatach i zieleni”. Wygrywa go, ex aequo z Mirą Zimińską-Sy-gietyńską, Zofia Wóycicka, późniejszy prezes wspomnianego Towarzy-stwa Przyjaciół Warszawy. Konkursowi przyświecała idea estetyzacji utylitarnych i zaniedbanych części Warszawy, wpisująca się w szerszą politykę urbanistyczną przedwojennego prezydenta stolicy. Zależało mu na realizacji hasła „Warszawa zwrócona frontem ku Wiśle”. Chciał uporządkować Powiśle i nadać mu reprezentacyjny charakter poprzez

13 Obraz z 1896 roku o wymiarach 115 na 16 metrów, choć był największym, jaki kiedy-kolwiek powstał w Polsce, nie odniósł sukcesu, został szybko zlicytowany i pocięty na mniejsze płótna.

14 Stefan Starzyński – urodzony na Powiślu, prezydent Warszawy w latach 1934–1939; prezydenturę otrzymał z nadania politycznego na mocy wprowadzonego przez ów-czesnego prezydenta Polski, Ignacego Mościckiego, tymczasowego ustroju gminnego m.st. Warszawy (Dz. U. 1934 nr 86 poz. 778).

realizację nowoczesnych założeń architektonicznych¹⁵.

Zdarzało się, że budowa domu dla nowych mieszkańców dzielnicy wiązała się z pozbawianiem dotychczas mieszkających na danej parceli ludzi dachu nad głową – eksmisją lub przymusowym przesiedleniem. Dawny powiślański robotnik, autor wspomnień przywołuje jedną z takich sytuacji: **dom przy ulicy Dobrej 86 wykupił od sukcesorów żydowskich Bank Gospodarstwa Krajowego [...]**, a następnie relacjonuje zarządzenie nowego administratora budynku:

Kto nie opróżni mieszkania sam, wywiozą ich na Annopol do baraków [...] – Na Godlaku budować będą wielki dom wzdłuż ulicy Bednarskiej. Będą tu piękne mieszkania dla buchalterów i kasjerów Banku Gospodarstwa Krajowego z ulicy Bielańskiej (Dobiasz 1981, s. 197).

Lokatorzy nowych domów stanowili dla mieszkańców o dłuższym powiślańskim „stażu” interesujące zjawisko. Grzesiuk¹⁶ przywołuje reakcję nowych sąsiadów po tym, jak ze swoją „ferajną”, chcąc zapoznać przybywszy z lokalną tradycją, strzelał pod ich oknami z kalichlorku: Lokatorka z parteru, „nowa”, której strzeliłem pod oknem, mówiła do jednej sąsiadki: „tak moja pani, byłam w kościele na Rezurekcji i modliłam się do Pana Boga, żeby tych s...synów szlag nareszcie trafił za to, że strzelali

15 Projekty przebudowy Warszawy prezentowane były podczas wystawy „Warszawa przyszłości” w Muzeum Narodowym z 1936 roku (por. Trybuś 2012, s. 51–78). Starzyński prowadził szeroko zakrojoną kampanię na rzecz popularyzacji swych planów przebudowy stolicy. Pozyskał na przykład świat literacki, wydając w 1938 roku para-przewodnik po Warszawie (Jesteśmy w Warszawie), stanowiący raczej projekcję w przyszłość niż oddanie specyfiki Warszawy tamtych czasów: Powiśle jest tam przedstawione jako kraina wszechobecnego dobrobytu, społecznej sprawiedliwości, jasnych ulic i zdrowej architektury. Konkurs „Warszawa w kwiatkach...” był zaś flagowym przedsięwzięciem kontynuowanym przez Towarzystwo Przyjaciół Warszawy po wojnie.

16 Stanisław Grzesiuk – warszawski działacz społeczny, pisarz i pieśniarz; po II wojnie światowej popularyzator nadwiślańskiego folkloru.

mi pod oknem i całą noc nie dali spać” (1987, s. 130). Krzemiński dziwił się natomiast nietypowym jak na Powiśle modowym trendom:

Do pracy chodzili w krawatach, panie na każde wyjście wkładały kapelusze, były to tak zwane kapeluszowe panie, które wcześniej stanowiły raczej przedmiot złośliwych docinków, bo nasze matki, babki i mieszkanki sąsiednich domów nosiły na co dzień chustki na ramionach (2001, s. 35).

W 2008 roku członkowie TPW zorganizowali jednodniowe święto ulicy Smulikowskiego. Jest to ulica, która niemal w całości oddaje charakter architektonicznych inwestycji lat 20. i 30. na Powiślu. Oddają głos samym organizatorom święta ulicy Smulikowskiego; jeden z nich wspominał:

Święto, uważam [za] super udane, ludzie byli zachwyceni, została pokazana stara ulica, gdzie znajdują się w 90% stare kamienice, bardzo zadbane, eleganckie domy, gdzie mieszkają przyzwoici ludzie, z pięknymi, ukwieconymi podwórkami, gdzie na co dzień wejść nie można. A udostępnione były również te podwórka przy ulicy Smulikowskiego, które zamieszkują już wtedy [w latach 30. – przyp. mój] coraz to bogatsi ludzie: pojawiają się „kapeluszowe damy”, więc Powiśle zaczyna się unowocześniać jak na owe czasy. Status mieszkańców się podnosi jak najbardziej.

Starsza mieszkanka okolicy podsumowuje:

Ulica Smulikowskiego, lata trzydzieste. Sprowadzili się tam ludzie, mieszczenie, warszawscy mieszczenie, tacy urzędnicy, którzy już mieli więcej pieniędzy, a nie byli slumsem, ulica była przystosowana do ich [potrzeb]. Panie, które wychodziły, nosiły kapelusze, są nawet źródła pisane mówiące o „ulicy kapeluszowych pań”. Architektura to zmieniła, to był wielki rozwój.

Poczynione w śródtytułe nawiązanie do wystawy i publikacji związanych z edycją festiwalu „Warszawa w budowie” w 2010 roku jest nieprzypadkowe¹⁷. Pierwsza fala modernizacji dotarła na Powiśle na przełomie XIX i XX wieku i trwała do 1939 roku. Ten właśnie okres (inwestycje, ludzi, wydarzenia) w wielu swoich przedsięwzięciach przywołują członkowie TPW. Kolejna fala modernizacji Powiśla, którą możemy obserwować współcześnie (powstawanie Biblioteki Uniwersyteckiej i rozrost miasteczka akademickiego, Centrum Nauki Kopernik, osiedli apartamentowców¹⁸), nie cieszy się wśród nich tak dużym entuzjazmem. Choć obie modernizacje (tę z początku XX wieku i obecną) łączy ich uczestnictwo w międzynarodowych procesach przekształcania położonych w sąsiedztwie rzek obszarów miejskich, pierwsza wiązała się – bardziej niż obecna – z wielkoskalowym przedsięwzięciem urbanistyczno-społecznym, zmieniającym nie tylko topografię i fizyczną tkankę dzielnicy, ale również skład jej mieszkańców. W nowych domach spółdzielczych mieszkaly rodziny urzędników, zaś biedni robotnicy często zmuszeni byli do opuszczania prowizorycznych domostw i kamienic czynszowych. Okres ten jest dla członków TPW swoistym kamieniem węgielnym Powiśla, jakie znamy teraz. Częstokroć sami (bądź ich rodziny) rozpoczęli wtedy doświadczanie i tworzenie przestrzeni dzielnicy jako jej nowi mieszkańcy. Ulica Smulikowskiego – stanowiąca przykład najlepiej zachowanego pod względem urbanistycznym fragmentu

17 Postmodernizm jest prawie w porządku – wystawa i publikacja będące kontynuacją projektu badawczego Łukasza Stanka *South of Eastwest* dotyczącego eksportu rozwiązań architektonicznych i urbanistycznych z krajów byłego Bloku Wschodniego do Afryki i Azji w czasach zimnej wojny.

18 Całe Powiśle zostało wpisane jako obszar „o kluczowym znaczeniu dla kształtowania struktury przestrzennej miasta z uwagi na poprawę wizerunku i aktywizację centrum miasta”, z naciskiem na rozwój inwestycji o profilu naukowym i kulturalnym, w Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego dla Warszawy – dokumencie określającym politykę przestrzenną i zasady zagospodarowania dla gminy (*Studium uwarunkowań...* 2010).

tamtego okresu – była z tego punktu widzenia najlepszym miejscem dla zorganizowanego święta.



Jeden z „Powiślańskich spacerów pod chmurką”: Karmelowy zapach Powiśla. Przewodnik pokazuje uczestnikom zdjęcie Fabryki Czekolady, Kakao i Cukierków „Franciszek Fuchs i Synowie”, na miejscu której od roku znajduje się biurowiec „Hortus” mieszczący 7 z 15 najdroższych apartamentów w Warszawie.

Autorka: Monika Sznal / Źródło: archiwum prywatne

Podaj cegłę! Powiśle robotnicze

Rozwój Powiśla w myśl polityki urbanistycznej Starzyńskiego zatrzymała II wojna światowa. W filmie dokumentalnym „Z Powiśla” z 1958

roku widzimy dzielnicę jako – ponownie – peryferyjną, zapomnianą, „na dole”, gdzie bawiące się pośród sterczących gruzów dzieci widzą w oddali Pałac Kultury i Nauki. Powiśle przynależy do miasta, które, jak mówi nam lektor, [zatrzymało się tam w górze, jakby bało się zejść niżej](#). Otwierająca film scena, kręcona ze Skarpy Wiślanej, pokazuje wciąż wyłączony z użytku „ślimak” na Karowej, dymiące kominy elektrowni, szkielety przedwojennych kamienic czynszowych. W tym samym czasie funkcjonuje już od kilku lat MDM¹⁹ czy bliski Mariensztat, osławiony w „Przygodzie na Mariensztacie” (1953) salon powojennej Warszawy²⁰.

Tuż po wojnie jednym z pierwszych uruchomionych dużych zakładów pracy była Elektrownia Miejska²¹. Znów, Powiśle potrzebowało rąk do pracy. Niektórych – mieszkańców wsi i miast – przywiózł do stolicy [pociąg PRL-owski](#). Poznawszy takich powiślańskich robotników, odkopywałam z nimi przeszłość m.in. w barze Syrenka, jednym z barów „pracowniczych” pozostałym na Powiślu. Pan Staszek wspominał, że poza napływowymi robotnikami [tu byli z krwi i kości potomkowie przedwojennych warszawskich robotników i jedni byli grzeczni, drudzy byli niegrzeczni](#). Pan Staszek rozpoczął pracę w Elektrowni Miejskiej w 1953 roku. Jak mówił, do stolicy przybył [z werbunku](#)²². Wysokość jego pierwszej pensji wprawiała go w dumę, miał szesnaście lat, wciąż był w trakcie nauki w gimnazjum i w tak młodym wieku zarabiał pieniądze,

19 Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa; budowę tego wielkiego kompleksu mieszkaniowo-usługowego przeprowadzono w latach 1950–1952.

20 Osiedle Mariensztat oddano do użytku 22 lipca 1949 roku wraz z trasą Wschód-Zachód.

21 Zwana również Elektrownią Warszawską, Elektrownią Powiśle w zależności od kontekstu historyczno-politycznego.

22 W powojennej Polsce prowadzono werbunek do wyludnionej i zniszczonej Warszawy na terenie całego kraju. Pracowników do elektrowni szukano wśród szkół o profilu energetycznym. Migrantom zapewniano kwaterek i wynagrodzenie.

z których musiały żyć całe rodziny. W 1965 roku otrzymał mieszkanie na osiedlu Ludna (z listy patronackiej, nie partyjnej!²³), wcześniej mieszkając w barakach, w hotelu robotniczym, w Zielonce. Swoją opowieść o Powieści snuł wokół zakładu pracy, przywołując anegdoty, posilając się do opisu własnych doświadczeń scenami filmów z epoki („Dom”, „Polskie drogi”).

Wędrując przez opowieść Pana Staszka, poznałam konkretne domy, gdzie mieszkał **lumpenproletariat**, gdzie znajdowały się **metry**. Stojący przy Alei 3 Maja Dom Spółdzielczy „Powieśle” określał mianem **Pekinu**, bowiem w początkowym okresie PRL mieszkało tam dużo pracowników elektrowni, którzy ściągali do miasta zupełnie pozbawionego sektora mieszkaniowego. W budynku znajduje się około 200 mieszkań, które – jak powiedział mi jego wieloletni mieszkaniec – zgodnie z optymalnymi planami architektów miały tutaj pomieścić maksymalnie 400 osób. W latach 50. i 60. mieszkało tam ponoć blisko 3000 osób. Plac przed szpitalem na Solcu, nazwany przed kilkoma laty z inicjatywy TPW imieniem Zofii Wóycickiej, Pan Staszek określał **placykiem kołowatych**, gdzie do lat 70. znajdowały się **cztery budki z piwem i dwa sklepy monopolowe [toteż] przy takim zaopatrzeniu i przy takich mieszkańcach (...) po wypłacie było tam jak w ulu**.

Dzięki rozmowom z byłymi robotnikami dowiedziałam się też, że Syrenka, będąc barem typowo robotniczym, stanowiła miejsce, do którego nie wypadało podówczas przychodzić ludziom na „wyższych” stanowiskach, a jedną ze stałych bywalczyń baru była niejaka Kika:

Szczupła pani, na Cichej mieszkała. Ona miała kolorową wódkę dla aktorów z Ateneum. I ona tu ciągle przesiadywała, z tym, że

23 Zdobyć mieszkanie w robotniczej, powojennej Warszawie było możliwe na dwa sposoby: będąc członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, czyli znajdując się na „liście partyjnej”, można było liczyć na szybszy przydział mieszkania. Na „liście patronackiej” znajdowali się robotnicy niezrzeszeni w partii.

ona się już wykończyła... Starszy facet, trzydzieści lat temu do nas doszedł, ona wyszła. Zapytał: czy tą panią znamy? No znamy, na Powiślu. On się przedstawił, że on przed wojną tą panią znał, nie był w kraju podczas wojny, teraz przyjechał poznać ją i mówi: to była najładniejsza dziewczyna na Powiślu: zawsze elegancka i warunki, z jakiejś tam renty żyła, a pracowała u Fuchsa.

Obraz Powiśla robotniczego współcześnie gości w pamięci osób pracujących w czasach PRL-u w Zakładach Przemysłu Cukierniczego Syrena (przed II wojną światową była to Fabryka Czekolady, Kakao i Cukierków „Franciszek Fuchs i synowie”) czy Elektrowni Warszawskiej (Elektrowni Powiśle). Choć zmienia się topografia Powiśla i znikają, bądź są poddawane przeobrażeniom obiekty i miejsca mające dla nich kluczowe znaczenie, istnieją one nadal, są równie realne, jak kilkadziesiąt lat temu. Podobnie jak w przypadku członków TPW doświadczenie ma istotne znaczenie²⁴ dla procesu tworzenia przestrzeni. Dawniej sąsiedzkie grupy społeczne zawiązywały się „automatycznie”. Ludzi związanych z miejscem pracy i zamieszkania, powiślańskie ferajny czy mieszkańców domów spółdzielczych charakteryzowało określone wyobrażenie dzielnicy. Od blisko dekady tworzeniem sąsiedzkich społeczności zajmują się także lokalne organizacje pozarządowe, lub nieformalne grupy mieszkańców i sympatyków dzielnicy, równie silnie podkreślające związek z powiślańską przestrzenią.

24 Na terenie Elektrowni Miejskiej planowana jest rewitalizacja i utworzenie centrum handlowo-rozrywkowego, w jej najbliższym otoczeniu wyrosło osiedle apartamentowców „Nowe Powiśle”; na miejscu wyburzonej Fabryki Syrena wyrósł biurowiec Hortus; Syrenka jest jedynym spośród dawnych barów pracowniczych (Mewa, Albatros, Rybitwa) wciąż funkcjonującym w okolicy.

Partnerstwo dla Powiśla: w poszukiwaniu sąsiedzkiej wspólnoty

Dzisiejszą Warszawę bez wątpienia opanował trend tworzenia sąsiedzkich wspólnot. Cieszące się popularnością „dni sąsiada” czy wyprzedaże garażowe są symptomatyczne dla szerszego zjawiska pobudzania tożsamości lokalnej i odpowiedzialności za miejsce zamieszkania czy aktywności zawodowej, innymi słowy: dla tworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Powstają struktury formalne i nieformalne, w ramach których lokalni aktywiści, mieszkańcy dzielnicy czy ludzie połączeni miejscem pracy angażują się w [małoskalowe](#) przedsięwzięcia. Na Powiślu ich przykładem jest z pewnością funkcjonujące od kilku lat Partnerstwo dla Powiśla.

Sama idea partnerstwa lokalnego sięga korzeniami lat 80. XX wieku kiedy w ramach restrukturyzacji gospodarki i sektora przemysłowego, przekładającej się na likwidację nierentownych hut i kopalni w Kanadzie i USA, pozbawieni pracy zarobkowej pracownicy tych zakładów zrzeszali się w grupy bazujące na pomocy sąsiedzkiej i organizowali różne formy samopomocy pracowniczej, owocujące niejednokrotnie partnerskimi przedsięwzięciami gospodarczymi niwelującymi negatywne skutki zmian, takie jak bezrobocie i ubożenie społeczności (Wejcman 2008).

W kwietniu 2010 roku Partnerstwo zorganizowało Sąsiedzkie Jajeczko:

[pomysł bardzo prosty, zbliżała się Wielkanoc, Partnerstwo w zasadzie cały czas dyskutowało, czym mamy się zajmować, co mamy robić, kim jesteśmy, dlaczego samorząd \[dzielnicy\] nie chce z nami współpracować itd. No i zbliżała się Wielkanoc i ktoś mówi: zróbmy coś. Pod hasłem wielkanocnym, tak, tutaj na Powiślu. Dla](#)

mieszkańców czy z mieszkańcami, no i padł taki pomysł, żeby zorganizować takie warsztaty, takie spotkanie edukacyjno-warsztatowe wokół pisanki czy takiego jajka w ogóle. I to rzeczywiście przygotowali sami partnerzy, własnymi siłami, nie mając żadnych pieniędzy, żadnego wsparcia.

W grudniu 2011 roku uczestniczyłam w kolejnym przedsięwzięciu Partnerstwa: sąsiedzkim spotkaniu wigilijnym. Przybyłam na nie nieco wcześniej, by pomóc w ostatnich przygotowaniach. Przyniosłam ze sobą kilka rzeczy na zbiórkę (zebrano na niej kilka dużych kartonów z produktami niezbędnymi dla najuboższych powiślańskich rodzin), również coś do jedzenia na wspólny stół. Do przedszkola, w którym wydarzenie miało miejsce, prowadziły kartki z napisem „tu na Wigilię”, z daleka było widać zapalone przy bramie przedszkola lampki, które pełniły też rolę drogowskiego, bowiem wejście zlokalizowane było w mało widocznym miejscu. Na spotkanie przybyło kilka rodzin z dziećmi, podopieczni Powiślańskiej Fundacji Społecznej, kilka osób starszych. Uczestnicy wymieniali się przepisami na bożonarodzeniowe potrawy, wspólnie tworzyli kartki świąteczne z przyniesionych ze sobą materiałów plastycznych, przyozdabiali pierniki, puszczały zimne ognie, oglądali przedstawienie przygotowane przez zaprzyjaźnionych aktorów. Pomagałam dzieciom przy pracach manualnych, później przy wspólnym sprzątaniu na zakończenie spotkania.

Jak podkreślali członkowie Partnerstwa, których poznałam, skuteczność i efektywność działań w tej nieformalnej dzielnicowej inicjatywie opiera się przede wszystkim na dobrowolnej współpracy pomiędzy przedstawicielami różnych sektorów (urzędnicy, lokalni aktywiści, mieszkańcy, właściciele kawiarni czy sklepów). Każdy członek Partnerstwa operuje równorzędnym zasobem, którym może podzielić się z pozostałymi. Suma tych zasobów sprawia, że wspólna pula powiększa się i możliwe staje się zorganizowanie jakiegos przedsięwzięcia. Tę alternatywną dzielnicową

ekonomię dobrze oddaje opisany przez Ewę, członkinię Partnerstwa, bożonarodzeniowy „śledzik” stworzony wspólnie z sąsiadami:

ludzie tego potrzebują, takiego bezpośredniego spotkania. W mojej kamienicy wciąż jest dużo seniorów i oni pamiętają takie czasy, kiedy znali całe wielopokoleniowe rodziny, wiedzieli, że tu się rodzi dziecko, ten jest z tą, a tamten z tamtą, wbrew pozorom to nie miało wymiaru plotkarskiego, ale – w moim odczuciu – to jest też poczucie bezpieczeństwa w miejscu, gdzie żyjesz, oczywiście jest podstawa – rodzina, ale są jeszcze takie obudowujące, kolejne podmioty, np. moi sąsiedzi. Co zrobić? No stół. To ja wezmę, tam jest na strychu ten stół i krzesła. Znieśli stół, znieśli krzesła, ja załatwiłam obrus, muzykę. Panie Janku, a jakiś ten kabel, żeby prąd był. Już się robi! I wszystkich namawiał, do wszystkich dzwonił domofonem. Skombinowali sobie tam inne „śledziki”, ale, whatever. Byli. Dużo osób było. Grała muzyka, był opłatek, świeczki się paliły, było nastrojowo. Każdy może to zrobić, to tak mało nas kosztuje.

Twój sąsiad z Jaracza. Salon fryzjerski dający poczucie miejsca

W kamienicy, w której odbył się „śledzik”, swój zakład fryzjerski od ponad 20 lat prowadzi Fryzjer Zbyszek. Jak sam podkreśla, kwintesencją fryzjerstwa jest rozmowa, w której miałam możliwość kilkakrotnie uczestniczyć. Kim tam byłam? Etnografką, sąsiadką, klientką? Czułam się jak partner w dialogu. Etykiety nie są dla Zbyszka najważniejsze.

Poza działalnością gospodarczą, którą prowadzi w salonie, stworzył niezwykle miejsce, do którego ściągają ludzie z okolicy. To przedłużenie domowej przestrzeni, gdzie doświadczymy bezinteresowności, która według autorskiej definicji fryzjera **daje nam poczucie miejsca**.

Fryzjer Zbyszek jest niezwykle refleksyjnym obserwatorem życia społecznego o dużym poczuciu humoru, autorem intrygujących aforyzmów, znawcą lokalnych relacji międzysąsiedzkich. Podczas naszych rozmów snuł swoją opowieść – diagnozę panujących współcześnie stosunków sąsiedzkich. Przywołując opowieści zawarte w autobiograficznej twórczości Grzesiuśka, piszącego o lokalnym honorze powiślańskich „ferajni”, który nie pozwalał na okradanie, krzywdzenie „swoich”, Fryzjer Zbyszek zauważył, że na Powiślu

są specyficzne miejsca, specyficzni ludzie. Oni mają swoją moralność, taką, gdzie coś komuś ukraść żaden problem, ale swojemu – ukraść nie można. Ale młodzi ludzie, którzy przychodzą tu na Powiśle, czy przyjeżdżają, nie mają już tego. „Nie masz cwaniaka, walisz swojego tak, jak chcesz. Kończą się takie stare zwyczaje powiślańskie.

Z wielu rozmów, które prowadziłam ze starszymi mieszkańcami Powiśla, wynikało (zgodnie z tym, o czym w swej twórczości pisał też Grzesiuśka), że etos ferajny wiązał się z poczuciem bezpieczeństwa: gdy ktoś był „swój”, z Powiśla, mógł być przekonany, że w jego własnej dzielnicy nie może stać się nic złego.

Zbyszek, wygłaszając autorską definicję fryzjerstwa, pokazał również przenikanie się różnych grup społecznych:

niech pani spojrzy na to Powiśle, jak tu, Lech Kaczyński był przy Czerwonego Krzyża, profesor Religa, Bronisław Komorowski, Leszek Moczulski. Tu jest mieszanina lumpenproletariatu i inteligencji.

I ci zapici ludkowie chodzący tutaj po tej ulicy, i ci intelektualiści, inteligencja niestychanie koło siebie żyją. Taka fajna mieszanina tego jest. Młynarski napisał taką piosenkę „Alkoholicy z naszej dzielnicy”, to pisał o tej bramie naprzeciwko. Gdzieś stoją faceci, piją wino; jak przychodzi taki stary lokator, który wiem, że jest prokuratorem, to wszyscy z szacunkiem „dzień dobry panie prokuratorze”, bo oni wiedzą, co on robi, bo poczta pantoflowa krąży. Tu po prostu wszyscy się znają. A jeżeli się ktoś nie zna, ktoś się wprowadzi, to od razu jest widoczny. Widać jak się zachowuje. Każdy człowiek jest jak świat, każdy jest inny. Każdy zlepek tych światów jest inny. Jednego dotyczą nieszczęścia, inny żyje w puchu, a te światy się zderzają mieszają wzajemnie, ale ludzie jacy są interesujący, jakie ludzie mają ciekawe spostrzeżenia ze światem związane. To są ciekawe rzeczy i to jest właśnie fryzjerstwo.

Panujący na co dzień w zakładzie towarzyski klimat Fryzjer Zbyszek postanowił przenieść na ulicę na okoliczność „Powiśleń”, festiwalu dzielnicy, który w 2012 roku miał swoją czwartą edycję.



Tabliczka zainstalowana na jednej z kamienic przy ulicy Dobrej podczas „Powiśleń” 2010. Autorki projektu „Bring Your Own Story” umieściły w kilkunastu punktach na Powiślu osobiste historie mieszkańców dzielnicy. Na tabliczce widnieje wypowiedź mieszkanki kamienicy: Tu od lat znają się sąsiedzi. Dawniej nikt nie zamykał tu nawet drzwi na klucz. Fabryka baterii, pracownia cukiernicza, magiel. Tu toczyło się życie lokatorów.

Autorka: Monika Sznel / Źródło: archiwum prywatne

Spotkajmy się na Powiślu! – czyli gdzie? Powstawanie mapy „Powiśleń”

„Powiślenia” w swych założeniach miały za zadanie zintegrować aktywnych mieszkańców, a w dalszej perspektywie zachęcić do działania innych mieszkańców, którzy według organizatorów festiwalu nie czują aż tak silnego związku z miejscem zamieszkania. Miłośnicy Powiśla chcieli ich do tego zachęcić. Rzeczywiście, sporej części osób,

z którymi przeprowadziłam wywiady, ewidentnie brakuje **lokalności, wspólnotowości**, które powinny ich zdaniem tworzyć się w małej społeczności lokalnej.

Każdy, kto chciał wziąć udział w „Powiśleniach”, miał przy użyciu zasobów, którymi dysponuje, poprzez działania oddolne²⁵ zaproponować w dniu festiwalu jakąś atrakcję, wydarzenie, zajęcie dla mieszkańców dzielnicy. U podstaw tego założenia leżało przekonanie, że

jeśli jesteś w stanie zaangażować lokalnych świrów, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, i przy okazji masz te zasoby, jeśli robisz coś totalnie grassrootowo²⁶, gdzie robisz coś w oparciu o miejscowych ludzi i w oparciu o ich wiedzę i znajomość na temat lokalnej specyfiki, no to jest szansa, że to jakoś optymalnie dopasuje się do potrzeb danej grupy mieszkańców

– mówił mi młody mieszkaniec Powiśla.

Jedni oprowadzali po Powiślu śladami filmów Stanisława Barei²⁷, siostry urszulanki z Szarego Domu pokazywały zamknięty na co dzień pokój, w którym zatrzymywał się Jan Paweł II, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Warszawy oprowadzali po wystawie poświęconej warszawianinście Bohdanowi Grzymale-Siedleckiemu, Centrum Nauki Kopernik zorganizowało spotkanie wokół tematu powiślańskich podziemi²⁸. Niemniej to właśnie inicjatywy sąsiedzkie zyskały największe uznanie w czasie

25 Działanie oddolne to termin funkcjonujący wśród osób działających w organizacjach pozarządowych, często wykorzystywany w projektach realizowanych w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki (POKL) zakładający definiowanie potrzeb i problemów dotyczących danej społeczności przez nią samą.

26 Ang. *grassroot* – przymiotnik oznaczający oddolny ruch społeczny, patrz wyżej.

27 Wiele scen z jego kultowych filmów „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?” i „Miś” było kręconych na Powiślu.

28 Bogaty i różnicowany program wszystkich czterech edycji „Powiśleń” można znaleźć na blogu wydarzenia: <http://powislenia.blogspot.com/> [dostęp: 25.11.2012].

festiwalu. Wystawienie stoliczka przed zakład fryzjerski, by porozmawiać z sąsiadami, czy konkurs na najlepszy wypiek Powiśla to inicjatywy, które dla wielu osób stanowiły rodzaj pasjonującego odkrycia.

Pierwsze „Powiślenia” odbyły się 3 października 2009 roku, rok po święcie ulicy Smulikowskiego. Miejsca ważne dla współtworzących imprezę osób zostały umieszczone na mapie dzielnicy – przewodniku po festiwalowym Powiślu. Znalazły się tam powiślańskie pomniki, kawiarnie, charakterystyczne stare budynki, punkty usługowe, placówki oświatowe, pracownie rzemieślnicze lub artystyczne. Hasło przewodnie festiwalu brzmiało: „Spotkajmy się na Powiślu”. Dowiedziałam się, że etap powstawania mapy okazał się najbardziej czasochłonny i wzbudzał najwięcej emocji. Różnorodni współorganizatorzy poszczególnych wydarzeń – z których każdy mógł zaproponować, co powinno się na mapie znaleźć – szybko doszli do wniosku, że mnogość propozycji znacznie przerasta możliwości dwuwymiarowego zaprezentowania dzielnicy na mapie o wymiarze zbliżonym do dwóch kartek maszynopisu.

Pomysłów na Powiśle było tyle, ilu obradujących nad zawartością mapy:

te boje polegały na tym, że mamy inne wizje Powiśla w jakiejś warstwie odbierania, oferty chociaż, tego, co tutaj jest atrakcyjne, każdy miał inną wizję, gdzie to Powiśle się zaczyna, gdzie kończy, jak te ulice idą, a która jest ważniejsza; każdy na coś innego chciał na niej zwrócić uwagę. Jedni mówią: wszystkie pomniki, nie bo na-
ćka się, ważniejsze byśmy my zaistnieli, także taki to był bój

– wspominała mieszkanka i aktywistka z Powiśla.

Kontrowersje związane z mapą unaocniły mi, z jak wieloma reprezentacjami przestrzeni przybyli współtwórcy „Powiśień”, jak wielu praktyk

przestrzennych²⁹ są uczestnikami. Obecność na mapie miejsc postulowanych przez poszczególne grupy okazała się ukazaniem dzielnicy tożsamej z wiedzą tych grup, czy wręcz sposobem zakreślania granic dzielnicowej rzeczywistości.

Zostawcie nasze Powiśle! O turystyce mieszkańców Warszawy

„Powiślenia”, początkowo adresowane były przede wszystkim do mieszkańców dzielnicy. Jednak atrakcyjność i wyjątkowość wydarzenia szybko uczyniła zeń atrakcję typowo turystyczną, gromadzącą stałych odbiorców, którzy w dniu festiwalu tłumnie ścigali na Powiśle z całej Warszawy. Pokuszę się o hipotezę, że festiwal, podobnie jak zbliżone tematycznie przedsięwzięcia w innych częściach Warszawy, przyczynił się do pobudzenia wewnętrznej turystyki miejskiej. Warszawiacy mogli bowiem zaznać się tego dnia z miejscami, do których później chętnie powracali. Nie zamierzam silić się na odważniejszą, choć mniej ugruntowaną tezę wykazującą bezpośredni wpływ „Powiśleń” na rozwój w dzielnicy życia nocnego, które od kilku lat stanowi wabik na warszawskich imprezowiczów, szczególnie w okresie letnim. Warto zauważyć jednak czasową paralelę pomiędzy obydwoma zjawiskami, tym bardziej że burzliwe społecznie wydarzenia lata 2012 roku ukazały wykształcenie się społeczności młodych ludzi, obierających imprezowy azymut na Powiśle.

29 Praktyki przestrzenne – termin zaproponowany przez Michela de Certeau dla określenia ludzkich praktyk istotnych w tworzeniu zakresu przestrzeni i formy społeczno-kulturowej lokalności (chodzenie do sklepu, rozmowy z sąsiadami, ale też zorganizowane spaceru po dzielnicy czy uczęszczanie do kawiarni).

Przed wojną, gdy na Powiślu zdarzała się okazja, którą należało uczcić, często wybierano się do słynnej knajpy Pod Retmanem, choć jak pisze Grzesiuk:

Myślałem o tych tak zwanych lepszych knajpach, w których niektórzy tracą w ciągu dnia więcej pieniędzy, niż inni mają na utrzymanie rodziny w ciągu miesiąca. Na dzielnicy chłopaki też piją wódkę. Piją w mieszkaniach, na klatkach schodowych, w bramie, za parkanem, a wieczorem na ulicy. Piją także, ale to już rzadziej, bo to drożej kosztuje, w knajpach „mordowniach” na dzielnicy (1987, s. 59–62).

Nie trzeba etnograficznej dociekliwości i badawczego uporu, by dostrzec, że dzisiaj kierunek ciążenia uległ zasadniczo zmianie.

„Mordownie” (lokale Mewa, Albatros, Rybitwa) zniknęły z Powiśla z końcem lat 90. W dzielnicy przybywa zaś co roku kilka „lepszych knajp”. Najlepszym zobrazowaniem powyższego będzie przykład niewielkiego kwartału Browarna – Lipowa – Dobra – Radna: w 2010 roku mieściły się tam 3 klubokawiarnie; w 2012 roku jest ich już 9. Być może z uwagi na obecność Biblioteki Uniwersyteckiej i Kampusu Uniwersytetu Warszawskiego w ich bliskim sąsiedztwie powstało przez ostatnich kilkanaście lat kilka księgarniokawiarni: najdłuższy stażem Czuły Barbarzyńca, Tarabuk, Kafka oraz słynne w kontestujących środowiskach Jadłodajnia Filozoficzna (spłonęła w niejasnych do dzisiaj okolicznościach), Diuna (została zamknięta tuż po pożarze w Jadłodajni Filozoficznej), Aurora i Czarny Lew, ulokowane w dawnych garażach zakładów samochodowych przy ulicy Dobrej. Ta druga grupa lokali już nie istnieje, zaś tor działalności, które wytyczyły lokale z książką i kawą w ofercie, spowodował wysyp podobnych miejsc na przestrzeni ostatnich kilku lat. Powiśle stało się dla warszawskiej młodzieży imprezową dzielnicą – w ciągu ciepłego półrocza funkcjonuje tu wiele miejsc typu „open air” – na świeżym powietrzu.

„Zostawcie nasze Powiśle”³⁰ – klip nakręcony przez i z udziałem bywalców takich miejsc (PKP Warszawa Powiśle, Plac Zabaw, Na lato czy Dolina Muminków) był reakcją (a wręcz swoistym manifestem) na, konflikt między różnymi stronami wykazującymi, że Powiśle należy właśnie do nich. Zarzewiem sporu była niejasna sytuacja związana ze sprzedażą przez właściciela (Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania) działki, którą dzierżawił Plac Zabaw (letni klub w Parku Agrykola) co wiązało się z nagłym zakończeniem działalności miejsca. Oburzenie tysięcy odwiedzających, czujących silny związek z Placem Zabaw, zostało podsycone, gdy pozostałe miejsca na imprezowej mapie Powiśla zaczęły być systematycznie kontrolowane przez patrole policji i straży miejskiej, a ich klienci legitymowani.

Klip pokazuje młodych, tryskających energią i swobodą ekspresji ludzi, którzy początkowo deklarują, że przybyli na Powiśle nie tylko z samej dzielnicy, ale z pozostałych części Warszawy, innych miast Polski, a nawet z zagranicy. Wszyscy poszukują rozrywki, *chilloutu*³¹, nowych lub starych znajomych, bądź zwabieni muzyką i gwarem po prostu postanowili dołączyć do radosnego tłumu. Bez wątpienia wszyscy, którzy zabierają w klipie głos, nie chcą, by ich Powiśle przestało funkcjonować: Powiśle, po którym pod osłoną nocy mogą przechadzać się z jednej miejscówki do następnej, by w gronie znajomych zakrapiać rozmowy alkoholem, podobnie jak kilkadziesiąt lat wcześniej imprezowe szlaki przemierzali klienci lokali gastronomicznych przy Trakcie Królewskim. Z wypowiedzi osób zabierających głos w nagraniu, jak też czysto towarzyskich rozmów, które przeprowadziłam ze znajomymi, wynika, że

30 Dostępny na serwisie youtube.com pod adresem: http://www.youtube.com/watch?v=aleE6DWhhRk&playnext=1&list=PLD74DCA00A8A36294&feature=results_video [dostęp: 25.11.2012].

31 Ang. *chill out* – odprężyć, zrelaksować się. Słowo weszło do potocznego języka w polskim slangu miejskim, bywa zapisywane w spolszczonej wersji (czilatt).

przed pojawieniem się tych miejsc Powiśle, a nawet cała Warszawa była pustynią, niespełniającą oczekiwań młodych mieszkańców miasta, którzy chcąc posłuchać muzyki na otwartym powietrzu, spotkać się ze znajomymi, musieli

pić wódkę w bramie, zaś pięć lat temu to niczego tutaj [na Powiślu] nie było i to była dzielnica babć. [Powiśle] to miejsce [które] tworzy klimat Warszawy³².

Głos, który zabierali powiślańscy imprezowicze, był częstokroć w przekazie medialnym umniejszany do rangi nieprzystającego do głosu mieszkańców, którzy skarżyli się na notoryczne zakłócanie ciszy nocnej. Okazało się, że waga głosów w przypadku „turystów” była mniejsza niż w przypadku zamieszkujących okoliczne domy ludzi. Odpowiedzią na tę sytuację był kolejny klip, w którym tym razem starsi mieszkańcy Powiśla zabierali głos w sprawie³³. Wydźwięk płynący z nagrania neguje doniesienia prasowe, według których wszyscy mieszkańcy – jak jeden mąż – mieliby być przeciwni nocnej, imprezowej odstonie dzielnicy.

32 Wypowiedzi osób wypowiadających się w klipie.

33 Dostępny na serwisie youtube.com pod adresem: <http://www.youtube.com/watch?v=AzgaGymSvGU> [dostęp: 25.11.2012].

Konkurencyjne Powiśla? Równoległe przestrzenie

Tworzenie przestrzeni odbywa się w wielu przestrzennościach³⁴, w oparciu o rozmaite dyskursy i postaci wiedzy. Przestrzeń jawi się w wielu odstonach w zależności od tego, z jakiej (i czyjej) perspektywy na nią spojrzymy. Te same miejsca kryją w sobie wiele interpretacji dyktowanych ludzkim ich doświadczaniem. Podobnie jak symbol miejsce posiada potencjalnie nieskończoną ilość znaczeń. Ludzie współdzielą konkretne znaczenie miejsc na podstawie tego, co o nich wiedzą. Ta wspólnota znaczeń wynika z podzielenia wyobrażeń na ich temat i zbliżonego terytorium przestrzeni przeżywanej. Oczywistym jest, że imprezowe Powiśle młodych ludzi nie przystaje do wizji dzielnicy, jaką posiadają członkowie Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, bowiem doświadczają Powiśla inaczej, wiedzą o Powiślu coś innego.

Gdy konkretni ludzie mówią „Powiśle”, mają na myśli ogół konkretnych doświadczeń i wiedzy, jaką na jego temat posiadają. Doświadczenia te nie są powiązane z dzielnicą jako taką, lecz właśnie z poszczególnymi miejscami, które – swoiście obiektywizowane³⁵ przez mieszkańców – wpływają na ich dalsze postępowanie i interpretowanie zdarzeń w nich zachodzących. Z tej perspektywy tegoroczny konflikt wokół ekranów

34 Termin wskazujący, że czas i miejsce – a zatem kontekst – mają w tworzeniu przestrzeni kluczowe znaczenie; działania społeczne i treści kulturowe zawsze osadzone są w jakiejś czasoprzestrzennej ramie, są umiejscowione (por. Bukowski, Lubas, Nowak 2010, s. 9–11).

35 Swoistość obiektywizacji subiektywnych doświadczeń polega na tym, że ludzie paradoksalnie postrzegają własny świat społeczny jako zewnętrzną – zobiektywizowaną – rzeczywistość. Ta obiektywizacja subiektywnych procesów i znaczeń świadczy o zdolności do obiektywizacji własnej wizji rzeczywistości (por. Berger, Luckmann 2010, s. 51–58; Bukowski, Lubas, Nowak 2010, s. 9–10).

akustycznych, które wzdłuż przecinającej Powiśle linii średnicowej chciały umieścić Polskie Linie Kolejowe, nabiera nowego wymiaru. Szeffostwo firmy argumentowało, że ekrany miałyby zniwelować ogromne utrudnienia związane z hałasem, z którymi borykają się mieszkańcy Powiśla. Wysokość ekranów ustalono na podstawie analizy rozchodzenia się hałasu opracowanej w raporcie wpływu na środowisko³⁶. Na informację żywo zareagowali pojedynczy mieszkańcy dzielnicy, również Partnerstwo dla Powiśla, z których wypowiedzi pojawiających się w warszawskich mediach wynikało, że ekrany akustyczne to absurd, bowiem hałas nikomu nie przeszkadza – jest nieodłącznym elementem powiślańskiego krajobrazu kulturowego.

To kolejny przejaw napięcia, jakie towarzyszy społecznemu tworzeniu przestrzeni, będącej przedmiotem roszczeń i przynależącej zarówno do zamieszkujących ją ludzi (zazwyczaj również wewnętrznie zróżnicowanej grupy), jak i do politycznych decydentów oraz innych aktorów społecznych odczuwających tożsamość z konkretną przestrzenią bądź sprawujących nad nią władzę (z tytułu własności, administracyjnego upoważnienia). W wymiarze lokalnym Powiśle od XIX wieku jest terytorium negocjacji pomiędzy mieszkańcami a pojawiającymi się wraz z duchem modernizacji nowymi przybyszami.

Konkretne terytorium nie jest przestrzenią absolutną, którą można dzielić na mapach chociażby za pomocą granic terytorialnych poszczególnych państw (Gupta, Ferguson 2004). To ludzkie wyznaczanie zasięgu i obrysów zjawisk rysuje granice terenu. Teren zatem definiuje nie w kategoriach geograficznej lokalności, lecz jako przestrzeń relacji

36 „Wysokość płotów określono na podstawie analizy rozchodzenia się hałasu opracowanej w raporcie wpływu na środowisko. Na zlecenie kolejarzy przygotowała go chorzowska firma Euroekspert. – Przyjęliśmy zaproponowane tam rozwiązania. Czteropółmetrowe płoty to standardowa wysokość – mówi Agata Antonowicz, rzeczniczka warszawskiego RDOŚ” – cytat z artykułu zamieszczonego na portalu Gazeta.pl: <http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/2029020,34887,12285847.html> [dostęp: 18.01.2013].

między ludźmi, które są znaczące dla osób zaangażowanych w etnograficzne badanie.

Właśnie ten fenomen miał na myśli Lefebvre, pisząc o nieskończonej ilości map, które pozwoliłyby na wyczerpujący opis danej przestrzeni. „Soczewki” (mieszkam tu od roku, czy lat kilkadziesiąt?) i „skala” (jestem urzędnikiem decydującym o inwestycjach w dzielnicy, czy jej mieszkańcem, którego te inwestycje bezpośrednio dotyczą?) użyte przy powstawaniu mentalnych map, poprzez które przyglądamy się przestrzeni, wskazują na to, jak patrzymy i jak jej doświadczamy, co o niej wiemy, a więc co traktujemy jako rzeczywiste i prawdziwe. To właśnie logika społecznego tworzenia przestrzeni: poznajemy ją, wchodząc w sieć międzyludzkich relacji; dla zaangażowanych w nie osób miejsca są wyobrażone (lecz nie wymyślone) i przez to rzeczywiste w tym sensie, że ich definicję ludzie podzielają tylko w ramach interpersonalnych relacji, w które wchodzi. Rzeczywistości te istnieją względem siebie równolegle. Nie da się przedstawić przestrzeni funkcjonujących w ramach tych rzeczywistości na jednej mapie, bowiem nakładają się na siebie, zazębiają.

Gdy mówię w tej chwili „Powiśle”, nie mam na myśli jednolitej tożsamości lokalnej mieszkających w dzielnicy ludzi, lecz odmienne i konkurencyjne Powiśla, konstytuowane przez różnorodność procesów społeczno-kulturowych, od których takie Powiśla nie dają się zasadnie oddzielić.

Monika Sznel (1990) – studentka Etnologii i Antropologii Kulturowej oraz Gospodarki Przestrzennej na Uniwersytecie Warszawskim, członkini Stowarzyszenia na rzecz poprawy środowiska mieszkalnego „Odblokuj”. Jej zainteresowania badawcze z zakresu antropologii miasta, studiów miejskich i planowania przestrzennego krążą wokół polityki mieszkaniowej, ruchów miejskich, oddolnych inicjatyw społecznych, partycypacji społecznej w planowaniu miejskim, politycznego wymiaru architektury i urbanistyki. Uwielbia podróżować „za jeden uśmiech”, poszukiwać skarbów na pachlich targach i zdobywać szczyty miejskich dachów.

Literatura

Berger P. L., Luckmann T.

2010 *Spółeczne tworzenie rzeczywistości*, Warszawa

Bukowski A., Lubaś M., Nowak J.

2010 *Wprowadzenie* [w:] Bukowski A., Lubaś M., Nowak J. (red.), *Spółeczne tworzenie miejsc. Globalizacja, etniczność, władza*, Kraków, s. 7–37

De Certeau M.

2008 *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, Kraków

Dobiasz S.

1981 *Chłopcy z ferajny Godłaka*, Warszawa

Grzesiuk S.

1987 *Boso, ale w ostrogach*, Warszawa

Gupta A., Ferguson J.

2004 *Poza kulturę: przestrzeń, tożsamość i polityka różnicy* [w:] M. Kempny, E. Nowicka (red.), *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej. Kontynuacje*, Warszawa

Harding D.

2008 *Wyobrażenie miasta i jego przestrzeń* [w:] „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” nr 3–4 (282–283), s. 5–20

Jesteśmy w Warszawie

1938 *Jesteśmy w Warszawie*, Warszawa

Jimenez A. C.

2003 *On Space as a Capacity* [w:] „The Journal of the Royal Anthropological Institute”, vol. 9, no. 1, s. 137–153

Kasprzycki J.

1997 *Korzenie miasta*, Warszawa, s. 294–354

Koleżak W.

1901 *Powіśle Warszawy*, Warszawa

<http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/docmetadata?id=772&from=pubstats>
[dostęp 1.09.2012]

Krzemiński W.

2001 *Mój przedwojenny świat*, Warszawa

Lefebvre H.

1991 *The Production of Space*, Oxford

Macnaghten P., Urry J.

2005 *Alternatywne przyrody. Nowe myślenie o przyrodzie i społeczeństwie*, Warszawa

Pobłocki K.

2011 *Antropologia miasta – urbanizacja, przestrzeń i relacje społeczne* [w:] „Lud” t. 95, s. 70–90

Stanek Ł.

2011 *Henri Lefebvre on Space: Architecture, Urban Research and the Production of Theory*, Minneapolis

Studium uwarunkowań...

2010 Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego m. st. Warszawy, http://bip.warszawa.pl/Menu_przedmiotowe/ogloszenia/plany_zagospodarowania/Studium.htm [dostęp 30.12.2012]

Trybuś J.

2012 *Warszawa niezaistniała. Niezaistniałe projekty urbanistyczne i architektoniczne Warszawy dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa

Wejcman Z.

2008 *Rozwój partnerstw lokalnych na Mazowszu. Doświadczenia 10 społeczności*, Warszawa

Warszawskie audioprzewodniki

miejskasciezka.pl

Jeśli chcesz usłyszeć więcej o światach opisanych przez Jeleniewskiego, Szczepańskiego i Sznel, idź na spacer z naszymi audioprzewodnikami.



Audioprzewodnik, czyli krótki, dźwiękowy opis oglądanych przez zwiedzającego przedmiotów i elementów, stosowany jest w muzeach całego świata. My postanowiliśmy wyjść z audioprzewodnikami w przestrzeń Warszawy. Nasze audioprzewodniki powstają według filozofii: **ściągnij i idź**. Wystarczy pobrać ze strony jeden bezpłatny plik mp3, który zawiera wszystkie niezbędne informacje, aby wyruszyć na poznawanie miasta.

PRACOWNIA ETNOGRAFICZNA

Stowarzyszenie „Pracownia Etnograficzna” im. Witolda Dynowskiego (SPE) powstało w 2006 roku w Warszawie z inicjatywy studentów i absolwentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Zajmujemy się badaniem i popularyzowaniem kultury tradycyjnej i współczesnej. Pytamy o tożsamość.

SPE to etnografki i etnografowie, którym się chce.

Od 2009 roku tworzymy portal **skanseny.net**, a od roku 2011 stronę **strojeludowe.net**. Dwukrotnie zabraliśmy młodych projektantów na etnograficzną objazdówkę po Polsce i Białorusi. Efekty inspiracji, które znaleźli w podróży, można zobaczyć na **www.etnoprojekt.pl**. Dla ponad 2500 warszawskich uczniów prowadziliśmy warsztaty zachęcające do poznawania Warszawy. Stworzyliśmy kilkanaście warszawskich audioprzewodników (**www.miejskasciezka.pl**). Kilkaset osób, dzieci i dorosłych, wzięło udział w naszych warsztatach rękodzielniczych: szycia, tkania, haftowania, robienia etnogadżetów. Uczymy, jak prowadzić projekty kulturalne czy jak mówić o kulturze w muzeum. Prowadziliśmy badania dotyczące pracy polskich skansenów i sytuacji Polaków w Macedonii (**www.polacywmacedonii.net**). Zorganizowaliśmy kilkadziesiąt spotkań, pokazów filmów i wystaw, które popularyzowały dorobek polskiej etnografii i antropologii. Wydaliśmy książkę dla dzieci „Wokabularz - elementarz językowy”.

Od 2010 roku współtworzymy Pracownię Duży Pokój – społeczno-kulturalną przestrzeń w centrum Warszawy.

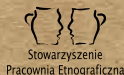
www.etnograficzna.pl

Monika Sznel prowadzi nas przez społeczne dzieje Powiśla. Rysuje kilka perspektyw, od robotniczych przedmieść, przez urzędnicze kamienice, po imprezowe podcienia mostów. Jej przewodnikami po zmieniających się ulicach są rzemieślnicy, działacze pozarządowi i zwykli mieszkańcy.

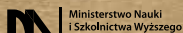
Kilkadziesiąt metrów wyżej, po dawnym szlaku królewskim, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, wędruje **Paweł Jeleniewski**. Od baru do baru, w oparach alkoholu, stara się odtworzyć życie towarzyskie stolicy sprzed 40 lat. Jego rozmówcami są amatorzy towarzyskiego pijaństwa i uczestnicy tamtych zabaw.

Dominik Szczepański pojechał na inteligenckie blokowisko. Namówił na wspomnienia pionierów Ursynowa. Ówcześni trzydziestolatkowie nie mieli gdzie robić zakupów i w czynie społecznym sadzili drzewa, za to ich mieszkania miały dodatkowy pokój do pracy umysłowej. Opowieść rozmówców to zapis mentalności z czasów niedoboru.

Organizator i wydawca



Projekt finansuje



Partner



Współpraca



Publikacja bezpłatna

ISBN: 978-83-936208-1-4